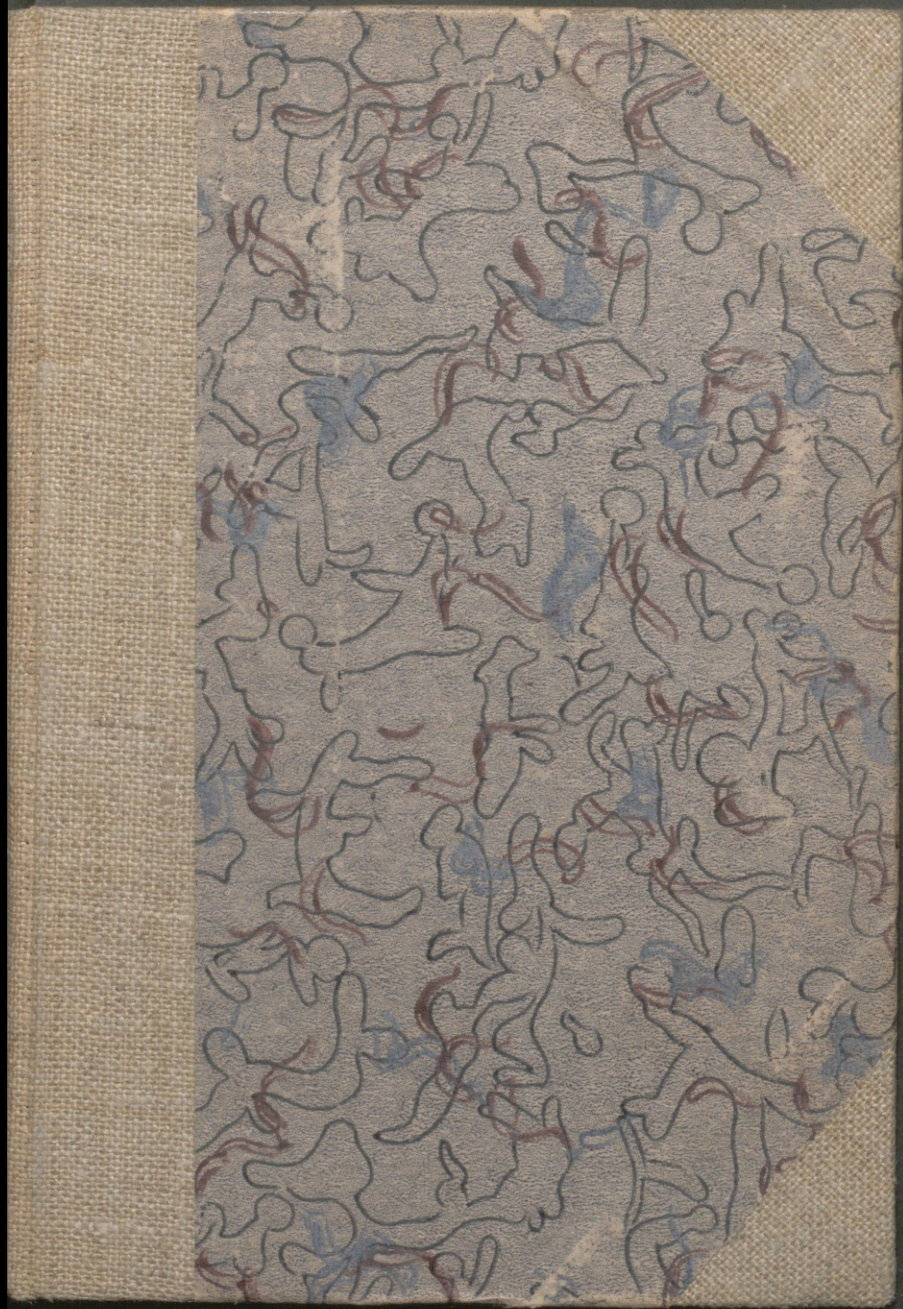


Grey Scale #13



DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





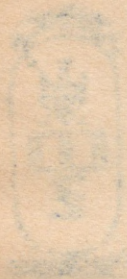
C. D. Z.

№ 142.



J-1253

ZAGADNIENIA
POLITYKI POLSKIEJ



JOACHIM BARTOSZEWICZ

ZAGADNIENIA POLITYKI POLSKIEJ

W A R S Z A W A ————— 1 9 2 9

Nakładem Tow. Wydawniczego PATRIA

(Spółdzielnia z ogr. odpow.)

Z funduszu im. Zbigniewa Paderewskiego

6554



1

WSTĘP

Przystępując do omówienia zagadnień polityki polskiej, zaznaczam na wstępie, że będę mówił o zagadnieniach podstawowych, t. j. o takich, które warunkują w stanowczy sposób byt i przyszły rozwój narodu i państwa. Do podjęcia niniejszej pracy skłania mnie nie pragnienie teoretycznego jedynie badania problemów politycznych, ale realna potrzeba bieżącej chwili.

Po długim okresie niewoli doszliśmy znowu do posiadania niepodległości politycznej i własnego państwa. Przez tych dziesięć lat jak mogliśmy i jak umieliśmy wznosiliśmy budowę odrodzonej Polski. Historia tych wysiłków konstrukcyjnych jest bardzo ciekawa, ale jej tutaj opowiadać nie będę. Stwierdzam jedynie, że nie tylko to budowanie dotąd nie jest zakończone, ale co do samego planu tej budowy panuje w polskiej opinii publicznej bądź zupełne niezrozumienie, bądź rażąca dys-

harmonja. Przy takim stanie rzeczy nie dziw, że dotychczasowy gmach odbudowanej Polski przedstawia takie pogmatwanie stylów i linii, takie pokrzyżowanie dążeń i kierunków, że przeciętnemu, logicznie myślącemu człowiekowi trudno się w dzisiejszej Polsce doszukać składu, ładu, a nawet istotnego sensu.

Dawno już przyszedłem do przekonania, że największem niebezpieczeństwem dla naszego życia politycznego są nie nasze wady i narowy, nasza przysłowiowa niezgoda i wynikające z niej przeciwnieństwa i walki. Za niebezpieczeństwo największe poczytuję zupełną nieświadomość rzeczy, w której pogrążony jest szeroki ogół naszego narodu, brak zrozumienia tego, co się w koło niego dzieje i do czego to wszystko doprowadzić może lub musi. Zapewne trudno wymagać, aby każdy obywatel kraju był politykiem. Wątpię nawet czyby to było dobrze, gdyby było możliwe. Jednak dla prawidłowego rozwoju życia narodu i dla normalnego funkcjonowania państwa jest rzeczą konieczną, aby pewne najbardziej podstawowe i proste tezy i postulaty polityczne były dla każdego apolitycznego obywatela tak jasne, iżby się stać musiały powszechnie przyjętymi i niewzruszalnymi aksjomatami, których pogwałcenie spotkałoby się z instynktowym i natychmiastowym odporem ogółu.

Otóż trzeba sobie jasno powiedzieć, że w Polsce takich powszechnie uznanych aksjomatów brak jest niemal zupełny. Jeśli zaś są jakieś tezy, to, wypływając z dziedziny raczej uczuciowej, przedstawiają za mało realnej wartości dla należytego ugruntowania gmachu odrodzonej naszej Ojczyzny. Dlaczego tak jest właśnie w Polsce w odróżnieniu od innych narodów i państw? Byłoby niesłychanie ciekawe i pouczające dać na to pytanie wyczerpującą odpowiedź. Trzebaby było na to przeprowadzić głębokie studjum historyczno-filozoficzne, na które sobie tutaj pozwolić nie mogę. Wystarczy, że stwierdzę ten brak aksjomatów politycznych w Polsce, a każdy po namyśle mi to przyzna.

Pomyślmy tylko, co jest w Polsce aksjomatem politycznym. Czy może granice państwa? Tak, zapewne. W razie zbrojnego napadu wroga niema chyba takiego Polaka — bo o wyraźnych zdrajcach i wyrzutkach nie mówię — któryby się nie poczuwał do świętego obowiązku odparcia najazdu i przelania krwi w obronie całego państwa. Ktoby inaczej sądził, przekonałby się na własnej skórze, że był w kapitalnym błędzie. Jeśli jednak ujmemy sprawę granic z innego punktu widzenia, jeśli się zapytamy, jakie ziemie właściwie do Polski należeć powinny, to tu nie znajdziemy

ani jasnego zrozumienia, ani jednolitej opinii. Czyż nie było walki o inkorporację Wileńszczyzny i czy wszyscy równie ochotnie śpieszyli na obronę Lwowa, który próbowali opanaować ukraińcy? Czy jeszcze przed wojną nie było programu „Polski etnograficznej“ i czy dziś nie ma jeszcze w Polsce ludzi, myślących o programie „Unji“, o wprowadzeniu ustroju federacyjnego? A iluż jest takich, co z wielkiem przekonaniem i powagą twierdzą, że Polska nie powinna pożądać nic cudzego, a jednocześnie nie mają najmniejszego pojęcia o tem, gdzie jest granica między ziemią własną a ziemią cudzą! Że przy takim stanie umysłów trudno mówić o świętości granic, to chyba jasne.

Tak samo się rzecz ma z innemi tezami politycznemi. Ani co do ustroju państwa, ani co do stosunku do innych państw, ani nawet co do znaczenia polskości w Polsce nie widzimy jednej ustalonej opinii. Jakżeż się przystem dziwić, że obserwatorzy cudzoziemscy, wysłuchujący od wielomównych Polaków tyle sprzecznych zdań o tych najważniejszych kwestiach, przychodzą do pesymistycznych i lekceważących konkluzyj co do wartości naszego narodu. Przecież Anglik nie będzie dyskutował tezy o supremacji Wielkiej Brytanji na morzu, Francuz nie będzie miał wątpliwości

czy Alzacja ma lub nie należeć do Francji, Włoch nie będzie się martwił pytaniem, czy granica Brenneru jest etnograficznie słuszna i t. d. i t. d. U nas jest inaczej.

Jeden jest chyba tylko aksjomat w naszym narodzie a tym jest obowiązek miłości Ojczyzny. Na tym punkcie niema wątpliwości, ani dyskusji. Jednak tak pojęty patryjotyzm mieści się całkowicie w dziedzinie uczucia. Patryjotyzm jest dla polityki podstawowym warunkiem i najważniejszą dźwignią. Tylko ten, kto kocha Polskę, ma moralne prawo do uprawiania w niej polityki, do rządzenia państwem. Ale sama miłość Ojczyzny nie wystarcza na to, aby prowadzić rozsądną politykę i rozsądnie rządzić państwem. Patryjotyzm wtedy jest olbrzymią polityczną siłą, jeśli nie jest miłością ślepą, ale taką, która wie, w jakim kierunku należy sercem ofiarnem szafować, aby Polsce wyszło to na dobre a nie na złe. Z najgorętszej miłości można nieraz popełniać najkapitałniejsze głupstwa. Trzeba więc wiedzieć i rozumieć.

Moje rozważania podaję ogółowi w tym właśnie celu, aby zrozumienie podstawowych zagadnień politycznych rozpowszechnić i wspomóc do wytworzenia bodaj kilku aksjomatów tak niezbędnych dla prawidłowego funkcjonowania polityki polskiej. Piszę dla

szerokiego ogółu a nie dla zawodowych polityków i uczonych. To też nie będę obciążał moich wywodów balastem naukowej erudycji. Argumentacja moja będzie możliwie jasna i prosta i nie będę się wahał tłumaczyć prawd i rzeczy, które są abecadłem wiedzy politycznej. Najprostsze rzeczy są zawsze najtrudniejsze do zrozumienia właśnie dlatego, że każdy ma je ciągle na ustach. Będę zadowolony, jeśli mnie zrozumie przeciętny obywatel kraju umiejący uważnie słuchać i logicznie myśleć.

1. Państwo narodowe

O ustroju państwa można mówić z rozmaitych punktów widzenia. Pospolicie myśli się, że stawiając kwestję ustroju państwa, należy odpowiedzieć na pytanie, czy dane państwo ma posiadać ustrój republikański czy monarchiczny. Tak jednak nie jest, a raczej być nie powinno. Monarchja czy republika — to są kwestje dalsze, pochodne, często drugorzędne i przyjęcie jednej z tych alternatyw nie potrzebuje być koniecznym aksjomatem politycznym dla narodu. Omówimy tę sprawę we właściwym miejscu. Tutaj wystarczy tylko zaznaczyć, że jest ona uwarunkowana ważniejszymi zagadnieniami, od których w większej mierze zależy byt i pomyślność państwa.

Za najpierwsze i najistotniejsze pytanie, które należy sobie postawić przy rozważaniu spraw ustrojowych uważam to: jaki ma być charakter państwa polskiego? Formułując konkretniej: czy Polska ma być lub nie ma być państwem narodowym?

Co to jest państwo? W języku potocznym pod państwem rozumie się zwykle bądź samo terytorjum państwowe, bądź zorganizowane pod jedną władzą i na danem terytorjum społeczeństwo ludzkie. Państwo jednak ma inne jeszcze znaczenie, o którym nie należy zapominać przy rozważaniu pytania, jaki ma być jego charakter. Państwo jest narzędziem do sprawowania władzy. Wyobraźmy sobie historycznie tworzenie się państwa. Najwyższy władca, wódz, książę, czy jak się tam mianować może, który tym lub innym sposobem zdobył sobie moc i prawo rozkazywania grupie ludzi sobie poddanych, sprawuje nad nimi rządy bądź sam bezpośrednio, bądź za pośrednictwem kilku czy kilkunastu swoich pomocników. Jest to najpierwotniejsza forma państwa. Owi pomocnicy księcia, którzy są jego władzy ramieniem, są w stosunku do ludności podwładnej państwem i stanowią zawiązek przyszłej skomplikowanej organizacji państwowej. Otóż czy tych pomocników, tych wykonawców władzy najwyższej jest pięciu czy pięćset tysięcy, czy funkcje ich są tak czy inaczej rozgraniczone, czy organizacja ich jest mniej lub bardziej zawiła, to znaczenie ich pozostaje niezmiennie. Stanowiąc państwo są oni narzędziem najwyższego władcy.

W czyim ręku spoczywa najwyższa władza nad społeczeństwem państwowo zorganizowanym? To się różnie składało w poszczególnych okresach czasu i u poszczególnych ludów i narodów. Bywało tak dawniej, a bywa tak i w dzisiejszej dobie, że dzierżycielem władzy najwyższej jest bądź jednostka (monarchja), bądź grupa jednostek (oligarchja), bądź cały naród. Przemian ewolucyjnych czy rewolucyjnych, jakie pod tym względem notuje historia ludzkości, nie możemy tutaj opisywać, ani rozważać. Wystarczy zaznaczyć, że najpowszechniejszym rezultatem, do którego doprowadziły owe przemiany historyczne, jest zdobycie władzy najwyższej przez naród.

Przejście władzy zwierzchniczej do narodu jest w Polsce zjawiskiem nie najnowszej doby. Już w XIV w. naród polski wysuwa się na widownię polityczną jako czynnik decydujący o losach państwa. Przypomnijmy sobie tylko takie fakty, jak zjazdy koszyckie, wprowadzenie Jadwigi na tron, małżeństwo jej z Jagiełłą i unja Polski z Litwą. W tym okresie naród występuje jeszcze jako oligarchja możnych panów, wielkich statystów. Wkrótce jednak, bo już w w. XV, szczególnie za panowania Kazimierza Jagiellończyka, wysuwa się nawierzch wielka masa szarej dotąd ale ambitnej braci szlacheckiej, która zdobywając

stopniowo prawne stanowisko władcy, staje się narodem w dzisiejszem prawie znaczeniu tego słowa. Odtąd, politycznie rzeczy biorąc, niema już w Polsce poddanych króla, są tylko wolni obywatele, z których każdy ma prawo marzyć nawet o koronie. Poddanymi są w Polsce ludzie z tytułu prawa prywatnego a nie publicznego (chłopi pańscy), ale ci nie wchodzi w skład narodu. Naród ówczesny to szlachta, która okupuje ten przywilej służbą publiczną i służbą wojenną dla obrony majestatu, całości i niepodległości Rzeczypospolitej. Jako władca dotrwał naród polski do czasów upadku Rzeczypospolitej, rozbiorów i niewoli. Dlaczego, w jakiej mierze i w jaki sposób przyczynił się naród polski do katastrofy, tego w tem miejscu omawiać nie będziemy. Konstytucja 3 Maja była istotnie testamentem narodu, który zrozumiał potrzebę i środki naprawy, ale który nie miał już czasu i możliwości do jej uskutecznienia. W niewoli, pod jarzmem zaborców, naród polski nie tylko się utrzymał, ale pomny wskazań owego testamentu, rósł w liczbę i wpajał w szersze kręgi poczucie swej niezniszczalności i konieczności wyzwolenia. Kiedy po wojnie światowej Polska stała się znowu niepodległym państwem, naród polski stanął w niej z tradycyjnym postulatem swej dawnej władzy zwierzchniczej.

Pierwsza konstytucja odrodzonej Polski, uchwalona przez Sejm 17 marca 1921 r. postanowiła w art. 2, iż „władza zwierzchnicza należy do Narodu”. Dziś zatem, w myśl obowiązującego prawa, naród polski dzierży w swoim ręku najwyższą władzę, którą po cudzoziemsku określamy jako suwerenność; naród przedstawia nazewnątrz udzielność państwową a nawnątrz uprawia zwierzchnictwo nad wszystkim, co się na jego terytorjum państwowem znajduje.

Zestawmy teraz to, co wyżej było powiedziane. Państwo zatem jest narzędziem najwyższej władzy. Narzędzie to musi się znajdować w ręku tego, kto tę najwyższą władzę posiada. W Polsce dzierży ją naród. Z logiczną konsekwencją wynika, iż przy tym stanie rzeczy państwo nasze może być tylko państwem narodowem. Znaczy to, iż państwo powinno służyć do uskuteocznienia celów, ideałów i interesów narodu. Znaczy to także, iż polityka polska, dla wykonania której istnieje państwo, powinna być polityką narodową.

Są to prawdy tak proste i jasne, że powinnyby być dla każdego oczywiste. Jednak zwykle tak bywa, że ludzie patrzą i nie widzą, słuchają i nie rozumieją. A że wielu jest takich na świecie, którzy dla rozmaitych powo-

dów świadomie pracują nad tem, aby prawdy te przed oczami ogółu ukryć lub zniekształcić, przeto w dzisiejszej Polsce — a co prawda nietylko w Polsce — jesteśmy świadkami ciekawego zjawiska, że szeroki ogół apolitycznych, apartyjnych ludzi z trwożną jakąś nieufnością słucha o postulatach polityki narodowej i państwa narodowego. Prawda, że te postulaty przychodzą do ich uszu pod niepolakiem brzmieniem nacjonalizmu.

Otóż odpowiednia propaganda doprowadziła już do tego, że w umyśle przeciętnego „bezpartyjnego” Polaka termin nacjonalizmu budzi prawdziwy przestach; z nacjonalizmem kojarzy się w jego głowie pojęcie szowinizmu, niereligijności, akatolicyzmu, a wszystko to razem personifikuje się i streszcza w dosadnym terminie endecji, która, jak przysłowiowy „sufrogan” staje się tajemniczem i strasznem wyzwiskiem. Tymczasem nacjonalizm jest terminem francuskim, który znaczy ni mniej ni więcej tylko to, co po polsku nazywamy polityką narodową.

Po tem, com wyżej wyjaśnił, nie sędzę, aby polityka narodowa miała być dla Polaka czemś strasznem lub niepożądanem. Dla prowadzenia zaś tej polityki narodowej musi istnieć państwo narodowe. Postarajmy się jednak bliżej wyjaśnić, co pod terminem państwo

narodowe należy rozumieć. Wiemy dotąd, że państwo takie ma służyć celom i interesom narodu. Czy wiemy jednak co to jest naród?

Nie chciałbym nużyć czytelników szczegółowym omawianiem teoretycznej definicji narodu. Ciekawych odsyłam do specjalnych dzieł, traktujących o tym przedmiocie. Pozwolę sobie tylko zacytować parę zdań z krótkiego wywodu, które pod tytułem „Naród” umieściłem w moim „Słowniku politycznym” (J. Bartoszewicz — Podręczny słownik polityczny). Piszę tam co następuje: „Naród — jest to związek natury politycznej, który się ustala w pewnym zespole ludzi przez wykonywanie w ciągu dłuższego okresu czasu wspólnej, czynnej i swoistej roli historycznej. Ponieważ taka rola historyczna może być urzeczywistniana jedynie przy istnieniu własnej organizacji państwowej, przeto niepodległość państwowa jest warunkiem tworzenia się narodu. Bez niepodległości politycznej niema własnej historii, a bez własnej historii niema narodu”. Z powyższych zdań i z dalszych ich omówień w „Słowniku politycznym” podkreślam tutaj tezy zasadnicze, potrzebne nam dla zrozumienia zagadnienia ustroju Polski. A więc naród to związek polityczny a nie etniczny. Związek etniczny zwiemy narodowością a nie narodem. Naród urabia się w ciągu niepodległego bytu

państwowego, w ciągu tworzenia własnej historii.

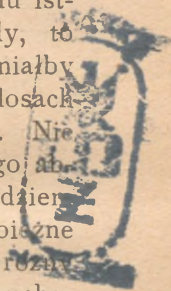
A teraz stawiam pytanie: czy naród a ogół obywateli, mających tę samą przynależność państwową — to jest to samo, czy nie? Odpowiadam: czasami tak, ale częściej — nie. Dając taką odpowiedź, mam tu na myśli przede wszystkim narody i państwa naszej starej Europy. Jeśli weźmiemy np. Francję, to możemy powiedzieć, że tam pojęcie narodu pokrywa się prawie zupełnie pojęciem ogółu obywateli Republiki francuskiej. W długim okresie niepodległego bytu, w historii wspólnych walk o wielkość i potęgę Francji, z różnych szczepów i narodowości, z odrębnych ziem i prowincyj wytworzył się jeden psychicznie nierozzerwalny związek polityczny narodu francuskiego. Dziś bretończycy, baskowie, katalończycy, alzacczycy mówią każdy własnem nie francuskim narzeczem, zachowują swoją odrębność obyczajową i lokalny patryjotyzm, ale wszyscy są ponad tem gorącymi patryjotami francuskimi. A jak jest w Polsce? Rozważając to pytanie pamiętajmy o tem, żeśmy mieli długi, bo prawie 150 lat trwający okres niewoli. W chwili utraty naszego niepodległego bytu naród polski w ówczesnym swoim składzie miał już cechy jednolitego związku politycznego. Różnice etniczne między

Polakami, Litwinami, Rusinami i nawet Niemcami pruskimi czy gdańskimi nie przeszkadzały wspólnemu poczuciu polskiego patriotyzmu. Każdy szlachcic ówczesnej Rzeczypospolitej, czy siedział pod Poznaniem, czy pod Wilnem lub Lwowem, czy pod Kamieńcem Podolskim, służył jednej Ojczyźnie — Polsce. Konstytucja 3 maja rozszerzyła skład narodu wciągając doń stan mieszczański i przygotowując stan włościański do przyszłej służby publicznej. Gdyby się była wówczas nie przecięła nić naszej niepodległości państwowej, to prawdopodobnie rozwój narodu poszedłby torami wspólnej idei politycznej i wspólnego patriotyzmu polskiego. Mielibyśmy w rezultacie w dzisiejszym momencie naród jednolity, któryby tak jak we Francji obejmował prawie cały ogół obywateli państwa. Ale po rozbiorach rządy państw zaborczych uczyniły wszystko co mogły, aby do tego rezultatu nie doszło. Czyniły one systematyczne wysiłki, aby nie dopuścić do zbliżenia i zjednoczenia warstw niższych, ludowych, narodowo nieuświadomionych z tą warstwą wyższą, która polski naród reprezentowała. Staraly się podburzać etnicznie niepolskie narodowości: Litwinów, Rusinów, Białorusinów przeciwko Polsce i wpajać w nich dawno zatarte poczucie odrębności i separatystyczne dążności. Choć naród polski ostał

się w niewoli i nawet znacznie się rozszerzył, to jednakże antypolskie wysiłki rządów zaborczych nie pozostały bez skutku. Masy ludności litewskiej, białoruskiej i ruskiej pozostały wprawdzie przy swem tradycyjnie wyrobionem przekonaniu, że do panowania nad nimi Polska ma lepsze prawo niż Moskwa lub Austria. Powstało jednak wśród nich jądro prowodyrów i agitatorów separatystycznych, którzy przepojeni nienawiścią i fałszując historję, pracowali gorliwie nad zniszczeniem wiekowego związku swych jedнопlemieńców z polską Ojczyzną. Tego stanu rzeczy nie wzięli pod należytą uwagę ci, którzy się zabrali do wewnętrznej budowy odrodzonego państwa polskiego. Zamiast łatwemi sposobami zatamować nikłe źródło haseł antypolskich i separatystycznych, uchwalono konstytucję ultrademokratyczną i taką ordynację wyborczą, która wpuściła na widownię polskiego życia politycznego zdecydowanych wrogów Polski.

Tak więc z wyżej przytoczonych powodów w dzisiejszej Polsce naród nie obejmuje ogółu obywateli państwa. Jakież z tego wynikają konsekwencje? Naród, jak ustaliliśmy, jest dzierżycielem najwyższej władzy w państwie. Ponieważ władza najwyższa czyli suwerenność jest z natury swojej niepodzielna, przeto tylko jeden naród może władzę taką

posiadać. Że w Polsce może nim być tylko naród polski, to chyba nie wymaga ani tłumaczenia, ani uzasadnienia. Gdyby w obrębie naszego państwa, obok polskiego narodu istniały inne równoznaczne z nim narody, to i wówczas tylko jeden naród polski miałby prawo i obowiązek decydowania o losach państwa, które zwie się i jest Polską. Nie można przecież wyobrazić sobie takiego absurdu, ażeby jedno państwo było narzędnikiem w ręku kilku władców, mających rozbieżne a nawet sprzeczne cele i mogących w różny sposób decydować o jego losie. Gdzie kucharzy sześć, tam niema co jeść, powiada polskie przysłowie. Rządzenie takim państwem byłoby niemożliwością lub politycznym nonsensem. Jeśli były państwa, w których skład wchodziły odrębne narody, to mogły one istnieć dlatego, że władza najwyższa czyli suwerenność była w ręku absolutnego monarchy. Wówczas panowała jedna wola, jedna władza — monarchy; wobec niego naród czy narody stanowiły jeden ogół poddanych. Rozbieżności czy nieporozumienia, jakie mogły zachodzić między poddanymi różnych narodów, były rzeczą podrzędną i nie grały większej roli niż te przeciwności, jakie w dzisiejszych, nie absolutnie rządzonych państwach, zachodzą np. między producentami i konsumentami lub między



robotnikami i fabrykantami. Monarcha mógł regulować te przeciwieństwa, kierując swoje państwo ku celom, jakie sobie zamierzył. Tak było za czasów monarchij absolutnych. Obecnie sytuacja jest radykalnie zmieniona. Dziś miejsce absolutnego monarchy zajął naród. To też, jeśli nie ma dojść do anarchji i chaosu, musi naród kierować swoim państwem jako absolutny władca. Wszyscy obywatele państwa, wszyscy, co są do niego formalnie przynależni, są poddanymi narodu. Ci z nich, którzy są członkami narodu, którzy wchodzą do tego panującego związku politycznego, poddają się woli narodu aktem własnej dobrej woli; ci zaś, którzy są poza narodem, muszą się poddać tej woli narodu tak, jak się dawniej poddawali woli absolutnego monarchy. Taką jest właśnie nieubłagana konsekwencja faktu, że naród zdobył sobie władzę suwerenną: członkowie narodu i ci obywatele, którzy doń nie wchodzą, pod względem politycznym nie mogą stać na równi.

Tymczasem dzisiejsza rzeczywistość przeczy tej konsekwencji. Hasło równouprawnienia, całkowicie słuszne w dziedzinie prawa prywatnego, ochrony sądów i urzędów i w dziedzinie kulturalno-obyczajowej, zostało rozciągnięte do praw politycznych w sposób szablonowo-doktrynerski, bez uwzględnienia formy

rządów i stosunków ludnościowych w danem państwie. Polska odrodzona przyjęła bez zastrzeżeń pełne równouprawnienie polityczne swych obywateli. Do pewnego stopnia była ona do tego zmuszona przez traktat o mniejszościach etnicznych i religijnych, który jej został narzucony przez państwa sojusznicze przy podpisywaniu traktatu wersalskiego i w którego powstaniu żydzi, jako gorliwi propagatorzy równouprawnienia politycznego, tak poważną odegrali rolę. Jednak radykalnie demokratyczna konstytucja, którą sobie Polska nadała, zwiększyła ze swej strony niepomierne niebezpieczeństwo, wynikające z zastosowania postulatu politycznego równouprawnienia. Doszło wskutek tego do rzeczy, które urągają wprost zdrowemu rozsądkowi. Czyż nie słyszeliśmy w polskim Sejmie przemówień, w których „przedstawiciele narodu“ wyraźnie deklarowali się przeciwko Polsce i za oderwaniem się pewnej części ludności od naszego państwa? Cóż może być bardziej monstrualnego? Czy jest dopuszczalne, aby tacy ludzie, uchodzący formalnie za przedstawicieli narodu, a będący wrogami Polski, mogli w pewnej mierze i w pewnym momencie decydować o losach państwa, do którego się nie chcą przyznać? A przecież to jest zupełnie możliwe w dzisiejszej Polsce w myśl jej konstytucji

i przy nieszczęśliwym składzie parlamentu, spowodowanym lekkomyślnie radykalną ordynacją wyborczą. Państwo narodowe — a jak widzieliśmy, jest narodowem w założeniu każde państwo z chwilą przejścia suwerenności do narodu — nie może pozwolić na takie ryzykowne absurdy, jeśli nie chce zginąć śmiercią samobójczą. Nie może ono stawiać na równi patryjotów z wrogami narodu i państwa, a nawet z takimi, którzy nie żywiąc specjalnie wrogich uczuć, nie chcą się przejąć kierowniczą ideą narodu. Polska jest w wyjątkowo trudnej sytuacji. Nie zespoliła ona jeszcze ogółu swych obywateli przy idei polskiej Ojczyzny. Wskazaliśmy już na to wyżej, że niefortunną tę sytuację zawdzięcza Polska długotrwałej niewoli, dezorganizującej akcji mocarstw zaborczych i własnym błędom rządzenia. Polska odrodzona ma jednak możliwość poprawienia swej struktury narodowej. Ci, co dzisiaj są poza narodem, mogą jutro stać się jego członkami. Na to nie potrzebują oni wyrzekać się swego pochodzenia, wyznania, języka, swych miejscowych obyczajów i przywiązań. W sławnej naszej przeszłości liczymy wszak tylu patryjotów polskich, którzy byli z pochodzenia Rusinami, Litwinami, Niemcami, Czechami, którzy mówili zarówno dobrze po polsku jak i swoim językiem i którzy byli

innego, nie katolickiego wyznania. I dziś w tym kierunku droga jest otwarta. Naród to nie związek etniczny, lecz polityczny. Aby stać się członkiem narodu polskiego potrzeba tylko jednej rzeczy: przejąć się jego ideałem politycznym i pracować dla dobra, chwały i potęgi Polski.

W rezultacie więc stwierdzamy co następuje: 1^o Polska jest prawnie państwem narodowym, albowiem władza najwyższa należy do narodu i 2^o w Polsce, będącej państwem narodowym, wszyscy obywatele, a nawet wszyscy mieszkańcy państwa podlegają woli i władzy narodu polskiego.

To są aksjomaty, które powinny być jasne dla wszystkich i o których nikomu zapominać nie wolno. Jakie z tych aksjomatów wynikają wskazania polityki praktycznej, o tem tutaj mówić nie będę. Wspomnę tylko, że urzeczywistnienie owych wskazań nie może w żadnym razie doprowadzić do tak niewiarogodnej sytuacji, aby w Polsce Polacy skazani byli na dołę uciśnionych i aby tak jak ongi pod obcym zaborcą, bronić musieli polskości, wysiłkami jednostek i społeczności.

Wobec wyżej przytoczonych konkluzji, które chciałbym aby pozostały aksjomatami dla naszej opinii publicznej, powstać może następująca obiekcja: Jeśli Polska z tych czy

innych powodów nie potrafiła ogółu mieszkańców swego terytorjum przerobić na jednolity naród polski, to czyż nie lepiej i nie rozumniej brać ten fakt za podstawę do odpowiadających mu kombinacyj ustrojowych państwa polskiego. Innemi słowy: czy nie stosowniej będzie tych obywateli lub tych grup obywateli, którzy dziś nie są członkami narodu polskiego nie poddawać władzy zwierzchniczej narodu polskiego, lecz ich z pod tej władzy wyzwolić? Takiej objeckji nie chciałbym zbyć milczeniem lub krótką negacją. W następnym rozdziale poddam ją szczegółowej ocenie i uważam to za tembardziej wskazane, że stawia ona kwestję nie akademicką, lecz wysoce aktualną w dzisiejszem naszym życiu politycznem.

2. Ustrój federacyjny

Są wśród Polaków ludzie najlepszej woli i dobrze życzący Polsce, którzy dążą do wprowadzenia w państwie naszym ustroju federacyjnego. Jasne jest, że jeśli tacy patriotycznie nastrojeni Polacy pragną zniszczenia jednolitości ustroju państwowego, to muszą kierować się pod tym względem innemi pobudkami niż te, które przyświecają wrogom Polski. Trzeba bowiem pamiętać, że nasi wrogowie wewnętrzni i zewnętrzni stawiają również postulat federacyjnego ustroju państwa polskiego. Przede wszystkim jednakże ważne jest rozpatrzenie motywów, któremi kierują się prawi Polacy, miłujący Ojczyznę. Ich bowiem słowa, ich argumenty mają dla ogółu wartość pozytywną, gdyż, pochodząc od ludzi uczciwie myślących, łatwo pociągają szersze kręgi osób apolitycznych i zmysłem krytycznym nie obdarzonych. Poznajmy więc te motywy i postarajmy się należycie ocenić ich wartość.

Najobfitszem i najbardziej pociągającym źródłem, skąd płyną intencje i żądania zwolenników federacyjnego ustroju w Polsce, są reminiscencje historyczne. Za motto do postulatów politycznych obecnej doby brane są pewne wielkie hasła z różnych momentów naszej historii, które przetrwały po dziś dzień w umyśle przeciętnego inteligenta polskiego i stały się formułami utartymi, to jest takimi, nad których znaczeniem właściwie nikt się już nie zastanawia. Przypomina się więc Polakom tak sympatyczne hasła jak: Unja Polski z Litwą; „wolni z wolnymi, równi z równymi”; „Polska, Litwa i Ruś”; „za naszą i waszą wolność”. Cóż słusniejszego, niż szukanie w przeszłości narodu wskazań dla budowania gmachu jego przyszłości? Trzeba tylko umieć szukać i znaleźć właśnie to, co jest potrzebne dla polityki aktualnej. Zastanówmy się więc nad wartością dla chwili obecnej przytoczonych haseł, które mają służyć do historycznego uzasadnienia potrzeby wprowadzenia w Polsce ustroju federacyjnego.

Unja! Co za wspaniałe wspomnienie z czasów naszej świetności i potęgi! Pierwowzorem tu była unja Polski z W. Ks. Litewskim. Ale nie tylko Litwa łączyła się dobrowolnie z Polską. Właściwie poza Inflantami żadna z ziem, które weszły w skład Rzeczy-

pospolitej, nie była zdobyta siłą oręża polskiego. A nawet ziemie, które pozostały poza państwem polskim, poddawały się dobrowolnie jego zwierzchnictwu jako księstwa lenne. Dlaczegoż więc i dziś coś podobnego nie mogłoby nastąpić? Dlaczego nie próbować tej samej polityki, która wówczas bez gwałtu, bez przymusu tak znakomicie rozszerzyła obszar i wpływy Rzeczypospolitej?

Pewnie. Przykład jest zachęcający. Zanim jednak przystąpić do jego wznowienia, należałoby przedewszystkiem przypomnieć sobie fakty i ustalić bieg wypadków historycznych. Rozpatrzmy klasyczny przykład unji Polski z Litwą. Zawarta ona została poraz pierwszy w końcu XIV w. przez ślub Jagiełły z Jadwigą. Była to wówczas unja tylko personalna, raz po raz zrywana, to znów nawiązywana; stopniowo jednak zacieśniała ona węzły między obu państwami i narodami i mnożąc punkty łączności, zmieniała ustrojową formę. Blisko dwa stulecia trwały owe przeobrażenia, aż wreszcie w r. 1569 wiekopomnym aktem Unji Lubelskiej unja personalna z czasów Jagiełły przekształciła się pod Zygmuntem Augustem w unję realną. Odtąd Polska i Litwa stanowiły jedną Rzeczpospolitą; pozostały tylko odrębne urzędy i tytuły. Nie był to już podówczas związek między tronami

i dynastjami, lecz wspólność dwu narodów. Ta właśnie wspólność znalazła wyraz w hasle: wolni z wolnymi, równi z równymi. Tylko jedność celów i dążeń politycznych, tylko wspólność patriotyzmu państwowego mogły tego rodzaju hasło zrodzić. Szlachcic litewski, wchodząc w poczet szlachty polskiej stawał się przez ten fakt członkiem narodu, wspólnego, jednolitego narodu w dzisiejszym, politycznym sensie tego słowa. Jako członek narodu, który już wówczas w Polsce zdobywał sobie władzę najwyższą, zyskiwał sobie szlachcic pochodzenia litewskiego, ruskiego czy białoruskiego równorzędne ze szlachcicem polskim stanowisko wolnego obywatela państwa. Przeminięły jeszcze dwa wieki i przed samymi rozbiorami aktem Konstytucji 3 Maja zadokumentowana została zupełna jednolitość ustroju państwowego. Przedsięwzięta w międzyczasie próba wprowadzenia trójpaństwa do ustroju Rzeczypospolitej (Polska, Litwa i Ruś) spełzła na niczem. Traktat hadziacki, zawarty po śmierci Bohdana Chmielnickiego z Janem Wyhowskim, przez który Ukraina prawobrzeżna od Dniepru po Słucz i Boh miała uzyskać w Rzeczypospolitej autonomiczne stanowisko, pozostał martwą literą. W przeddzień tedy utraty niepodległego bytu politycznego Polska była państwem jednolitem a nie związkiem federacyj-

nym państw i narodów. O tym wyniku dziejowego procesu unifikacji zapomnieli ci, którzy w dzisiejszej Polsce chcą przeprowadzać unję. Pocóż ją robić, skoro ona już dawno została przeprowadzona. Poco sięgać do w. XIV lub do późniejszych momentów z XVI i XVII stulecia, które już dawno doprowadziły do pewnych konkretnych wyników historycznych. Jeśli się chce nawiązać nie historycznej ciągłości, to trzeba ją nawiązać w tym punkcie, w którym nie owa została przerwana. W chwili upadku Rzplitej stopniowe i długoletnie przeobrażenie unji doprowadziło Polskę do jednolitego ustroju państwowego. Taki więc ustrój, będący naturalnym wynikiem wiekowego procesu rozwojowego, winien być i pozostać niewzruszalną podstawą do budowy i rozwoju odrodzonego państwa polskiego.

Przeciwko tej tezie zwolennicy federalizmu polskiego występują z następującem zastrzeżeniem: oświadczają oni, że dawna unja Polski z Litwą była dziełem jedynie magnatów i szlachty; lud w tej sprawie wcale nie był pytany o zdanie. Dzisiaj zaś żyjemy w czasach demokratycznych, i masy ludowe, nie polskie, powinny same oświadczyć się, czy i w jakim stopniu chcą utrzymania związku z Polską. Rozumowanie takie uznać trzeba za całkowicie błędne. Dziedzictwo legowane przez hi-

storję przyjmuje się w całości: to, co zostało zrobione, co prawnie było postanowione lub zawarte w imieniu państwa i narodu przez przodków, musi być przez pokolenia późniejsze uznane za ważne i nie może być podawane w wątpliwość z powodu, iż ustrój ówczesny narodu i państwa nie zgadzał się z jego ustrojem dzisiejszym. Gdyby rzecz można było ujmować inaczej, tobyśmy z równą słusnością mogli zaproponować ludowi litewskiemu powrót do pogaństwa, albowiem chrzest Litwy był dziełem Jagiełły i on wcale ludu swego się nie pytał, czy godzi się na przyjęcie religii chrześcijańskiej. Lud litewski, ruski czy białoruski nie potrzebuje wcale być obecnie pytany o to, czy on chce związku z Polską, bo ten związek jest już faktem historycznym, dokonany prawnie i dobrowolnie przez ich przodków i tego faktu nie może on przekreślić, jeśli nie chce zerwać związku z własną historją i własną Ojczyzną. Dzieje długich wieków uczyniły to, iż Polska, Litwa i Ruś zlały się w nierozłączną całość, że utworzyły wspólny naród i jednolite państwo. O powstaniu na terytorjum dawnej Żmudzi niepodległego państwa litewskiego zadecydowały inne motywy, nie argumenty historyczne, gdyby bowiem one były wzięte w rachubę na konferencji paryskiej, toby Litwa Kowieńska wła-

czona być musiała do państwa polskiego, którego integralną częścią była przed upadkiem Rzeczypospolitej. Skoro stało się inaczej i Litwa Kowieńska po wojnie światowej uzyskała niepodległość państwową, to unja dzisiejszej Polski z dzisiejszą Litwą może się stać nowym problemem polityki zagranicznej obu tych państw. Zachowany jednak musi być przy tem jeden kardynalny warunek. Gdyby taka unja kiedyś miała przyjść do skutku, nie powinna ona w żadnym razie doprowadzić do tego, aby jakakolwiek z ziem, wchodzących ongi w skład W. Ks. Litewskiego, a będących dziś integralną częścią naszego państwa, została wyjęta z pod jednolitego ustroju, jakiemu podlega cała Polska. Taki wynik unji byłby aktem destrukcyjnym a nie rozszerzeniem wpływów Polski na dalsze tereny.

Wreszcie ostatnie z przytoczonych haseł historycznych, będące hasłem powstańców, bijących się „za naszą i waszą wolność“, nie może być przytaczane jako uzasadnienie robienia jednolitości państwa i wprowadzania doń ustroju federacyjnego. Zrozumiemy to łatwo, jeśli sobie przypomnimy, że 1-o) Litwa i Ruś nie były wojenną zdobyczą Polski, że nie zostały przez nią ujarzmione siłą, lecz złączyły się z nią aktem dobrowolnej zgody; 2-o) po upadku Rzeczypospolitej Litwini i Ru-

sini, na równi z Polakami byli we wspólnej niewoli pod jarzmem obcych zaborców, i 3-o) Litwini i Rusini brali udział w powstaniach polskich, mających na celu wywalczenie wspólnej wolności i niepodległości politycznej państwa polskiego. Kiedy więc po wielkiej wojnie Polska wróciła do niepodległości, nietylko Polacy, ale Litwini i Rusini, którzy w skład Rzeczypospolitej wchodziłi, odzyskali wolność, utraconą w końcu XVIII w. Taki był sens okrzyku powstańczego „za naszą i waszą wolność” w stosunku do polskich Litwinów i Rusinów. Niema więc żadnej racji do wyprowadzania zeń wniosku, że powstańcy, bijąc się z zaborcami, mieli na celu rozbijanie jednolitości Polski i zerwanie historycznej unji z Litwą i Rosją.

Widzimy więc, że żaden argument historyczny nie uzasadnia wprowadzenia w Polsce ustroju federacyjnego. Przejdźmy do innej grupy argumentów. Postarajmy się rozpatrzyć ten problemat z punktu widzenia celowości. Spytajmy się, jaki interes ma Polska w przeobrażeniu swego ustroju jednolitego na federacyjny i jakie z tej zmiany mogą wyniknąć konsekwencje polityczne?

Do uzyskania jasnej na to odpowiedzi musimy dojść przez wyjaśnienie sobie kilku kwestyj, będących logicznymi przesłankami

właściwego problematu. Rozpatrzmy najpierw dziedzinę polityki wewnętrznej.

Wprowadzenie ustroju federacyjnego do dzisiejszej Polski mogłoby nastąpić przez nadanie autonomji politycznej ziemiom północno-wschodnim i południowo-wschodnim naszego państwa. Przez taką reformę stworzoneby zostały odrębne i lokalne centra życia politycznego. Musiałyby wówczas powstać miejscowe władze i urzędy polityczne, reprezentowane i obsadzone przez ludzi miejscowych. Jakie są racje polityki wewnętrznej, któreby potrzebę takiej autonomji uzasadniały? Pierwszą racją miałyby być tutaj fakt, że obszary północno i południowo-wschodnie a więc białoruskie i ruskie są terenami, zamieszkałymi przez ludność mieszaną i że Polacy są tam w liczbowej mniejszości. Otóż niewątpliwie, biorąc rzeczy sumarycznie, fakt taki istnieje. Uwzględniając ogólne cyfry dla całości ośmiu naszych województw wschodnich, możemy ustalić, iż Polacy stanowią tam 45,2% ogółu ludności, a więc mniej, niż połowę. Nie trzeba jednak zapominać, że w województwie wileńskim liczba Polaków wynosi 57,4%, w nowogródzkim 59%, w białostockim 76,5%, w lwowskim 56,5%. A więc nie wszędzie są tam Polacy w mniejszości liczbowej. Ale czy fakt, że Polacy są na tych ziemiach mniejszością liczbo-

wą mógłby uzasadniać wprowadzenie autonomicznej odrębności? Wprost przeciwnie, fakt taki byłby najsilniejszym argumentem przeciwko wprowadzeniu do ziem o mniejszości polskiej autonomji politycznej. Jakież bowiem byłyby wyniki tej reformy? Gdyby ustrój autonomiczny oparty był na zasadach demokratycznych — a tylko taka autonomia mogłaby zadowolić prowodyrów ruchu litewskiego, białoruskiego i ruskiego — to wówczas układ stosunków cyfrowych musiałby doprowadzić do tego, że dominujące stanowisko na wschodnich naszych obszarach przypadłoby nie Polakom, lecz innym. Że logiczną konsekwencją tego faktu byłoby osłabienie polskości i rozluźnienie węzłów duchowych tych krajów z państwem polskim, to chyba jasne. W tych warunkach autonomia polityczna byłaby tylko wstępem do mniej ścisłej unji, a następnie do zupełnego oderwania się kresów wschodnich od Polski. Taki bowiem jest historyczny los każdej autonomji politycznej i każdej federacji. Taki związek musi ulegać przeobrażeniu bądź w kierunku unifikacji, bądź w kierunku separacji. Jeśli się zniszczy dokonana unifikację, to pcha się niewątpliwie dziejową ewolucję w kierunku separacji. Chyba nikt z Polaków twierdzić nie będzie, iż oddzielenie naszych wschodnich obszarów leży w interesie Polski.

Na to można wprawdzie dać odpowiedź, iż trzeba nadać taką autonomję, która będzie gwarantowała należytą rolę Polaków na kre-sach i przez to zapewniała trwałą łączność tych krajów z całością państwa. Zapewne. Trudno tylko byłoby zrozumieć, komu i naco byłaby tak pojęta autonomja potrzebna. Dzisiejsi prowodyrowie polityczni mas niepolskich, którym uśmiecha się idea nie unji, lecz oderwania się od Polski, będą ją uważali za krzywdzącą fikcję. Dla tamtejszych mas ludowych, pozbawionych aspiracyj politycznych, a wyczekujących jedynie silnych i sprawiedliwych rządów, wszystkie zmiany ustrojowe tego rodzaju nie przedstawiają interesu i wprowadzają chyba jeden jeszcze powód zamętu. Przypuszczenie, że tą drogą dojdzie się do ukontentowania ludności niepolskiej i ułatwienia sobie rządów nad nią jest wierutnym błędem. Taka czy inna autonomja wywołać musi jedynie wrażenie, że Polska nie ma dosyć siły, aby uznać, iż ziemie wschodnie są państwem polskim i ażeby nad nimi panować. A że dotychczasowe rządy polskie poczyniły już znaczne wysiłki, aby wpoić w masy przekonanie o słabości polskiej władzy, przeto wprowadzenie ustroju autonomiczno-federacyjnego byłoby ukoronowaniem tego samobójczego dzieła. Tak się przedstawia sprawa z punktu widzenia

naszej polityki wewnętrznej. Horoskopy nie są różowe. Wprowadzenie ustroju federacyjnego osłabia władzę centralną, utrudnia rządy całością, grozi rozczłonkowaniem państwa i utratą obszarów wschodnich, które, nie zapominajmy o tem, stanowią 56,07% całego obszaru Polski.

Jeśli spojrzymy na pomysły federacyjne z punktu widzenia polityki zagranicznej i stosunków międzynarodowych, to sprawa przedstawi się nam w formie dość skomplikowanej. Spotkamy się ze spletem interesów nie tylko polskich, ale i obcych najczęściej rozbieżnych, zwykle krzyżujących się, a także i zbiegających się ku jednej mecie. Dla należytego zrozumienia tego zawiłego obrazu trzeba mieć na oku nie tylko układ stosunków między Polską a jej sąsiadami, ale całość polityki międzynarodowej państw europejskich i pozaeuropejskich. Mając zamiar traktować zagadnienia polityki zagranicznej w specjalnej pracy, ograniczę się tutaj do przedstawienia najważniejszych momentów, wyjaśniających znaczenie polskiego federalizmu z punktu widzenia interesów międzynarodowych. Przedewszystkiem ustalmy interes Polski. Co Polska może zyskać przez nadanie autonomji politycznej Litwinom, Białorusinom i Rusinom? Odpowiadają: łatwość rozszerzenia swych wpływów na tereny leżące poza jej

dzisiejszemi granicami. Zaznaczmy na wstępie, że takie dążenia uważamy za naturalne i zupełnie słuszne. Każde państwo, prowadzące rozumną politykę zagraniczną, dba o to, aby sięgać swojemi wpływami poza swe słupy graniczne, szczególnie, jeśli tam mieszka ludność tego samego pochodzenia, języka i religii co jego własni obywatele. Wpływy te są potrzebne ze względów ekonomicznych, komunikacyjnych, handlowych i kulturalnych i nie potrzebują kryć w sobie ani zamysłów aneksyjnych, ani chęci mieszania się do spraw wewnętrznych obcego państwa. Polska w historii swojej promieniowała daleko poza granice własnego terytorjum. Stąd wynikały sympatje, które przyciągały sąsiadów do Rzeczypospolitej i doprowadzały do efektów politycznych, do grupowania się sprzymierzeńców, lenników i pobratymców około tronu Jagiellonów. Gdyby tak miało być w obecnej sytuacji, to czyż nie byłoby w tem znakomitego dla Polski interesu? Nikt temu nie przeczy. Pytanie jest tylko w tem, czy sytuacja dzisiejszej Polski pozwala na to, aby podobnych skutków atrakcyjnych móc się spodziewać? Tron Jagiellonów — to był wielki tron, okryty chwałą, groźny potęgą, znany i poważany w całym ówczesnym świecie. Kultura Polski za Jagiellonów przewyższała o całe wieki kulturę

sąsiadujących z nią ludów i szczepów. Zakon krzyżacki, prototyp dzisiejszych Prus i sprusaczonych Niemiec, został właśnie przez Jagiellonów pobity na głowę. Rosja była jeszcze Księstwem Moskiewskiem. Dzisiejsza sytuacja Państwa Polskiego nie odpowiada ówczesnej. Ja wierzę najmocniej, że Polska potrafi znowu zdobyć sobie aureolę chwały, że zajaśnieje blaskiem swej cywilizacji i imponować będzie siłą moralną i materialną. Dziś, niestety, tego jeszcze niema i jeśli się chce cel osiągnąć, to trzeba iść stopniowo i ostrożnie. Nie potrzeba zapominać, że mamy złych sąsiadów i że niektórzy z nich, i to najniebezpieczniejsi, są od nas silniejsi. Aby promieniować na zewnątrz i przyciągać innych, trzeba działać urokiem własnej siły, niezaprzeczalnej na wewnątrz i oczywistej dla wszystkich. Wobec tych zadań, które nas czekają, jakie znaczenie może mieć w dzisiejszym momencie rozbitcie jednolitości państwa polskiego i wprowadzenie doń ustroju federacyjnego?

Czy można liczyć na to, że utworzenie w Polsce centrów autonomicznych: litewskiego, białoruskiego i ruskiego będzie miało ten skutek, że sympatje Litwinów z Kowieńszczyzny, Białorusinów z pod Mińska czy Mohylewa, Ukraińców z pod Kijowa, zwrócą się ku Polsce? Sądzę, że nie. Efekt może być wprost

odwrotny. Wspomnieliśmy już wyżej, że w czasach naszej niewoli, dzięki robocie rządów zaborczych, powstały wśród tych narodowości ogniska antypolskiej agitacji z wyraźnym celem zerwania łączności z polskim narodem. Agitacja ta trwa dotąd i jest planowo podsycana zarówno przez czynniki zewnętrzne, jak i przez kapitalne błędy naszych własnych rządów. Polska nie potrafiła jeszcze stanowczą i rozumną polityką przeciąć korzeni wrogiej i separatystycznej akcji prowodyrów i oprzeć bezapelacyjnie swego panowania bezpośrednio na masach ludowych, które są całkowicie skłonne do poddania się jej woli i władzy. Dopóki to się nie stanie, można z wszelką racją przewidywać, że Litwini, Białorusini i Rusini obdarowani autonomją polityczną w Polsce, zwrócą swoje myśli i oczy ku tym litewskim, białoruskim i ruskim ośrodkom samodzielnym czy autonomicznym, które znajdują się poza naszymi granicami. A wtedy może dojść do tego, że Kowno przyciągnie do siebie Wilno i że Kijów czy Charków będzie chciał odebrać nam Lwów. Czy tego mamy sobie życzyć? I czy przewidując taki efekt, mamy prawo powiedzieć sobie, że nie byłoby to ze szkodą dla Polski dlatego, że wtedy przyszedłby właśnie moment do stworzenia unji między Polską, obciętą do granic t. zw. etnograficz-

nych, a Litwą z Wilnem, Kownem i Mińskiem, i Rusią czyli Ukrainą ze Lwowem i Kijowem jako stolicami. Nie chcę wchodzić w omawianie widoków takiego szerokiego planu, który mógłby się spodobać niejednemu z Polaków, pamiętającego coś nie coś o idei Jagiellońskiej. Mogę wskazać na mądrość przysłowia polskiego, że lepszy wróbel w garści, niż kanarek na dachu. Sądzę, że nie wolno rozczłonkowsywać Polski z tą nadzieją, że amputowane członki uda się później przyszyć do skrwawionego ciała Ojczyzny, jedwabnemi czy może stalowymi nićmi. A jeśli się nie uda? Terytorjum, które odrodzona Polska otrzymała po wojnie światowej, powinno być dla nas świętością nie-tykalną, na której nie można próbować żadnych ryzykownych operacyj chirurgicznych, lecz która musi nabierać mocy i trwałości przez jednolitą formę jej wewnętrznego życia. Polska dzisiejsza musi trwać jako jednolity trzon, do którego musiałyby przylgnąć ewentualne nowe osady. Trzeba pamiętać, że dzisiejsze nasze terytorjum państwowe, to jest to minimum, bez którego Polska nie mogłaby się ostać jako państwo naprawdę niezawisłe. Powtarzam to przy każdej okazji, że tam gdzie się Polska znajduje, nie ma miejsca na małe państwo. Polska musi być wielkiem państwem pod groźbą utraty swej niepodległości.

Czy wielką Polskę możnaby zastąpić większym co do obszaru związkiem trzech państw: Polski, Litwy i Rusi? Gdyby ten związek miał służyć interesom Polski, to możnaby dać odpowiedź twierdzącą. W dzisiejszych jednak warunkach zewnętrznych jak i wewnętrznych, byłoby nierozsądnem spodziewać się, że owe trzy państwa zgodnie służyć będą wspólnej, polskiej idei politycznej. Dla powodów, na które wyżej już wskazaliśmy, nie sposób przypuszczać, aby podobna unja dała możność poprowadzenia polityki, zacieśniającej węzły łączności wewnętrznej i konsekwentnie zmierzającej do ugruntuwania należytej Polsce sytuacji międzynarodowej. Już istnienie odrębnych trzech rządów, choćby najprzyjaźniej usposobionych, będzie dostatecznem źródłem wzajemnych tarć i nieporozumień. Przy rozbieżności celów, przy odrębności władz, o jednolitej linii postępowania, o jednej systematycznej polityce zagranicznej nie będzie mogło być mowy. Obszar zaś państwa, choćby największy, nie stanowi jeszcze o jego wielkości.

Sytuacja przedstawi się jeszcze bardziej skomplikowana, jeśli weźmiemy pod uwagę grę czynników zewnętrznych. Nie jesteśmy przecież izolowani i każdy z ośrodków ewentualnej unji, którą omawiamy, podlega całej sieci kombinacji i intryg, kierowanych przez

państwa obce i przez jawne i tajne międzynarodowe instytucje. Z tego punktu widzenia można sobie wyobrazić, że idea stworzenia nowej unii między Polską, Litwą i Rosją może się spotkać u pewnych czynników międzynarodowych z życzliwym przyjęciem. Chodzi tylko o to, aby zrozumieć jakie są intencje tej życzliwości. Najciekawszem przytem jest pytanie, jakie byłoby stanowisko dwu najsilniejszych naszych sąsiadów — Niemiec i Rosji.

Wszyscy chyba godzimy się na to, że Niemcy nie są naszymi przyjaciółmi. Jak głęboko i jak daleko sięgają wrogie ich ku Polsce uczucia i zamiary, o tem już różne wśród Polaków bywają opinie. Szerzej tę sprawę omówię przy rozważaniu polityki zagranicznej. Tutaj wystarczy mi zaznaczyć, że błędem byłoby przypuszczenie, jakoby wrogie zamiary Niemców w stosunku do naszego państwa ograniczały się do żądania rewizji naszych zachodnich granic, czyli do odebrania nam Pomorza i Górnego Śląska. Twierdzę, że żądania te są tylko początkiem i fragmentem wielkiego planu wszechniemieckiego, mającego na celu ugruntowanie hegemonji niemieckiej nietylko w Europie, ale w całym świecie. Plan ten jest daty przedwojennej. Świtał on w głowach niemieckich począwszy od połowy XIX w. Był długo i systematycznie badany i opracowywany.

Wreszcie skryształizował się w dwóch konkretnych projektach, sformułowanych w r. 1895-1911. Na podstawie planu wszechniemieckiego z 1911 r. prowadzona była przez Niemcy wojna światowa. Na początku r. 1916 plan ten w trzech czwartych częściach był faktycznie zrealizowany. Przyszła jednak w r. 1918 porażka Niemiec na froncie. Armje zwyciężone musiały opuścić zajmowane terytoria, a Niemcy zostały zmuszone do podpisania pokoju, który okroił ich dotychczasowe terytorjum na zachodzie i na wschodzie. Otóż trzeba o tem pamiętać, że niemcy, mimo przegranej, nie chcą się dotąd uznać ani za pobitych w walce orężnej, ani za ostatecznie pokonanych przez narzucone im traktaty. Ponieważ w krytycznym momencie nie przyłożono im sztychu do gardła, ponieważ oszczędzono im decydującego coup de grâce, ponieważ armje zwycięskie nie stratowały ich ziemi i nie weszły do stolicy, przeto Niemcy utrzymują wobec siebie i wobec innych, iż zostały oszukane i podstępnie wciągnięte do krzywdzącego i niesprawiedliwego pokoju. Tem się tłumaczy cała taktyka powojennej polityki Niemiec. Tem się tłumaczy, że plan niemieckiej hegemonji europejskiej i światowej nie został porzucony. Musiał on tylko ulec modyfikacjom, zależnym od zmiany stosunków.

Jaki los przygotowywał Polsce przedwojenny plan wszechniemiecki? Krótko mówiąc, miało to być bezpośrednie lub pośrednie poddanie Polski władzy niemieckiego narodu, jako narodu „panów” (*Herrenvolk*). Niewola Polski musiałaby się stać faktem realnym, nawet gdyby pewien skrawek polskiej ziemi uzyskał pozorną niezawisłość. Ziemie po Wiśle i Narew weszłyby jednak w skład Prus jako starodawne ziemie niemieckie (*Urdeutsches Land*). Pozostałe terytorjum byłego Królestwa Polskiego, na równi z wydzieloną Litwą, na równi z Ukrainą, poczynającą się od Sanu, miały być ściśle związane z Cesarstwem Niemieckiem unją celną, do której wchodziłyby wszystkie ziemie monarchji austro-węgierskiej, państwa bałkańskie i Turcja. Niemcy chciały oprzeć swoje panowanie nad światem, ujęte w krótką formułę: Hamburg — Zatoka Perska na solidnej i zrównoważonej podstawie ekonomicznej w Europie. Chcąc zabrać na Zachodzie poza Belgią, północną Francję z bogactwami przemysłowymi i kopalniami, przygotowywały sobie Niemcy na Wschodzie tereny rolnicze, mające im dostarczać obfitej żywności i wszelkich produktów surowych. Polska powinna była zostać śpichlerzem Niemiec i niczem więcej. Była skazana na niewolę, która się równała zagładzie.

Wojna światowa, wywołana przez Niemcy i przez nie przegrana, plan ten na razie rozbiła. Polska powstała jako państwo niepodległe na dość znacznym obszarze, obejmującym prawie cały zabór pruski z częścią Górnego Śląska, cały zabór austriacki, dawne Królestwo Kongresowe i część ziem wschodnich b. Rzeczypospolitej. Ale powtarzam, plan wszechniemiecki pozostał jako ostateczny cel przyszłego rewanzu. W stosunku do Polski, linja polityki niemieckiej pozostaje ta sama; zmieniają się tylko momenty i metody akcji. Jeśli już trzeba się liczyć z istnieniem Polski niepodległej, to w interesie politycznym Niemiec leży wszystko, co tę Polskę w ten lub inny sposób osłabia lub krępuje i co zbliża jej konfigurację wewnętrzną i zewnętrzną do wskazań planu wszechniemieckiego.

Tak na te rzeczy patrząc, możemy stwierdzić, że wprowadzenie w Polsce ustroju federacyjnego, które mogłoby być wstępem do unji trzech państw: Polski, Litwy i Rusi stworzyłoby sytuację, odpowiadającą znakomicie założeniom planu wszechniemieckiego. Już sam fakt tej zbieżności i równoległości dwóch planów: polskiego i niemieckiego, powinien dać do myślenia zwolennikom rozbicia jednolitości ustrojowej naszego państwa i wprowadzenia ustroju federacyjnego. Jest jasnem, że przez

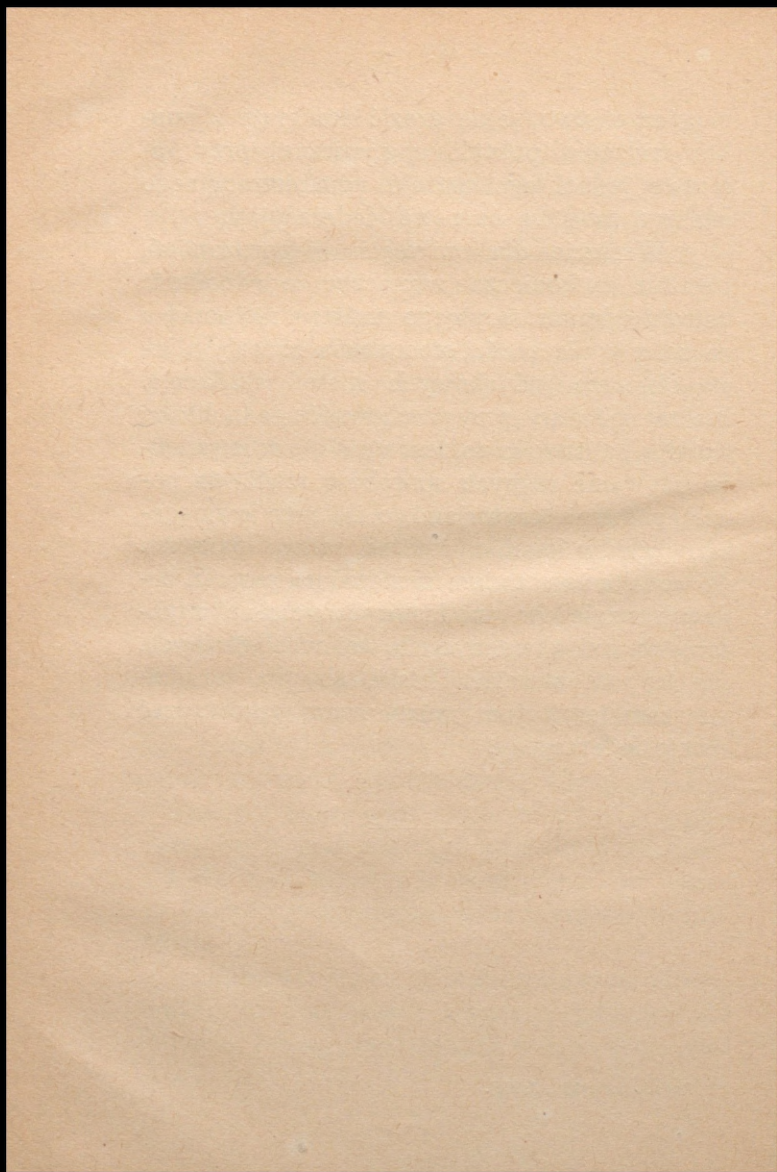
ten fakt ryzyko federalistycznej reformy znacznie się powiększa i przybiera formy poważnego zewnętrznego niebezpieczeństwa. Niebezpieczeństwo w pierwszym rządzie leżałoby w tem, że istotnymi kierownikami polityki w sfederowanych z Polską państwach Litwy i Rusi byłiby Niemcy i że Polska byłaby nie tylko terytorjalnie uszczuplona, ale ze wszystkich stron otoczona przez Niemcy. Wątpię bardzo, czy jest w interesie Polski, aby w dzisiejszym momencie na takie niebezpieczeństwo się narażać i próbować mu sprostać.

Tak się rzecz przedstawia od strony Niemiec. Co zaś do Rosji, to rzecz ujmijmy krótko. Dzisiejsza Rosja sowiecka jest zbyt zależna od Berlina, aby mogła normować swój stosunek do Polski wbrew interesom i polityce Niemiec. Każda zaś Rosja, dzisiejsza czy jutrzejsza, może się łatwo i bez szkody dla siebie pogodzić z wielką i jednolitą Polską, ale musi traktować wyodrębnioną Litwę czy Ruś (Ukrainę), bądź jako atuty w grze antypolskiej, bądź jako materiał na własną zdobycz. I z tej więc strony wprowadzenie u nas ustroju federacyjnego budzić może poważne wątpliwości.

Pomijam inne czynniki międzynarodowe. Sądzę, iż przytoczone wywody, odnośnie do Niemiec i Rosji, dostatecznie wskazują na nie-

bezpieczeństwo, jakie grozić nam może z punktu widzenia polityki zagranicznej przy zamianie jednolitego ustroju administracyjnego naszego państwa na ustrój federacyjny.

Wreszcie dla uniknięcia nieporozumień, uważam za konieczne zaznaczyć, że jednolitość ustroju administracyjnego państwa nie pociąga za sobą konieczności stosowania na całym jego obszarze jednakowych metod rządzenia. Inaczej mówiąc, przy zachowaniu jednolitości ustroju państwowego, jest zupełnie dopuszczalne używanie różnych sposobów rządzenia poszczególnemi terytorjami, o ile tego wymagają względy lokalne, interes całego państwa. W rezultacie stawiam następującą tezę: Z żadnych względów, ani historycznych, ani utylitarnych, ani zewnętrznych, ani wewnętrznych, nie leży w interesie Polski, aby na jej dzisiejszem terytorjum państwowem wprowadzać ustrój federacyjny.



3. Republika — monarchja

Polska odrodzona nadała sobie ustrój republikański. Stało się to nie przez szacunek dla naszej starej tradycji historycznej. Jak wiadomo, Polska przez długie wieki zwała się Rzeczpospolitą, chociaż zachowała tron i króla. Po bezpotomnej śmierci Zygmunta Augusta tron ten był elekcyjny. Kiedy tron zawakował przez śmierć lub abdykację panującego, naród obierał jego następcę *viritem*, czyli mówiąc po dzisiejszemu — drogą plebiscytu. Skojarzenie rzeczpospolitej czyli republiki z monarchją elekcyjną było nietylko w zasadzie nonsensem politycznym, ale w skutkach przyniosło Polsce poważne szkody. Ująłem w moim „Słowniku politycznym” szkodliwe skutki monarchji elekcyjnej w Polsce w krótkiem streszczeniu, które tutaj zacytuję: „Monarchja elekcyjna (wybór nie dynastji, lecz kaźdoczesnego monarchy) jest najgorszą i najmniej racjonalną formą ustroju monarchicznego. Jaskrawą ilustrację

tego twierdzenia daje nam rozpaczliwa historia monarchji elekcyjnej w Polsce. Wolna elekcja każdorazowego króla przez naród stwarzała w Polsce ustrój właściwie republikański, lecz również najgorszego i najmniej racjonalnego typu, gdyż stawiając na czele państwa nie prezydenta, lecz króla, musiała Rzeczpospolita Polska walczyć bezustannie z przyrodzoną każdemu monarsze ambicją utrwalenia się na tronie i wprowadzenia zasady dziedziczności. Wyczerpując się w ciągłych sprzecznościach republikanizmu z monarchizmem, Polska musiała chylić się ku upadkowi. Nie uratowała jej reforma 3 maja, ustanawiająca monarchję dziedziczną, albowiem przyszła nie w porę. Dobrze się więc stało, że Polska nie powróciła do zgubnej tradycji monarchji elekcyjnej. Zresztą w czasach, kiedy Polska na nowo powstawała, w powojennym okresie zamętu i rewolucji, kiedy padały trony, a zwyciężeni cesarze i króle ponosili karę za krew przelaną, myśl o wszelkiej monarchji wydawała się ludziom w Polsce dziwnym anachronizmem. Przytem pamiętać należy, że od samego początku ujęli władzę w odrodzonej Polsce i zabrali się do jej budowania ludzie nie tradycji, lecz t. zw. postępu o programie socjalistycznym i radykalnym. Dla polityków tego typu monarchja należy do kategorii rzeczy reakcyj-

nych, prawicowych, arystokratycznych, klerykalnych i t. p. w przeciwstawieniu do republiki, która jakoby jest postępową, lewicową, demokratyczną i liberalną formą ustroju państwowego. W tych warunkach wybór był z góry przesądzony. Chodziło wówczas o to, aby obdarować Polskę takimi instytucjami, co do których nie mogłoby być wątpliwości, że są ostatniem słowem nowoczesnego, radykalno-socjalistycznego postępu. Dlatego mamy republikę z ultra-demokratyczną konstytucją, z szablonowo radykalną ordynacją wyborczą, ze słabą władzą prezydenta, z fikcyjnym Senatem i faktyczną jednoizbowością i z politycznym równouprawnieniem wszystkich obywateli, nawet jawnych wrogów narodu i państwa.

Mimo to sprawa monarchji, którą nam legowała w formie instytucji dziedzicznej wiekopomna Konstytucja 3 maja, pozostała dla polskiej opinii publicznej kwestją otwartą. Stała się ona nawet politycznie aktualną, odkąd pojawiły się na naszej widowni publicznej hasła, grupy i stronnictwa monarchistyczne. Wobec tego nie chcę jej pominąć milczeniem, chociaż tak, jak to zaznaczyłem w jednym z poprzednich rozdziałów, nie uważam jej za kwestję pierwszorzędną, za taką, która powinna być aksjomatem dla narodu. Istotnie pytanie: republika czy monarchja, nie może być

rozstrzygnięte przez tak lub nie. Można sobie wyobrazić Polskę kwitnącą, szczęśliwą i silną zarówno przy ustroju republikańskim, jak przy monarchicznym. Wszystko tu zależy nie od nazwy, lecz od tego, jak państwo jest skonstruowane i jak jest rządzone. Więc np. bywają republiki z silnym rządem i monarchje z rządem słabym; bywają republiki arystokratyczne czy oligarchiczne i monarchje demokratyczne; są republiki, w których wolność jest poniewieraną i deptaną i monarchje gwarantujące i szanujące wolność obywateli. Bywa też i odwrotnie. O tem, czy republika, względnie monarchja jest dobrą lub złą formą ustrojową, decyduje nie ich wartość zasadnicza, lecz inne względy, a więc w pierwszym rzędzie charakter narodu i państwa, a potem cały szereg okoliczności faktycznych, zależnych od miejsca, czasu, wskazań przeszłości, zadań przyszłości, od układu stosunków wewnętrznych i międzynarodowych. Jeśli zatem postawimy sobie pytanie, jaka forma ustroju lepiej odpowiada interesom dzisiejszej Polski, republika czy monarchja, to wszystkie te momenty natury faktycznej muszą być wzięte pod uwagę przy rozważaniu tego problemu. W konkluzji jednak tego rozumowania nie będziemy mogli dojść do wniosku absolutnego, lecz do wskazań warunkowych, sformułowanych daj-

my na to w takim sensie, że z tych czy z innych względów w danym momencie i przy danych okolicznościach ustrój monarchiczny (bądź odwrotnie — republikański) byłby dla Polski dogodniejszy.

Zastanówmy się nad najważniejszymi momentami, które o tej dogodności decydować mogą.

Weźmy ustrój republikański. Słynny Montesquieu słusznie twierdził, iż istotnym warunkiem dobrej rzeczypospolitej jest, aby ogół obywateli posiadał cnotę obywatelską (*vertu civique*). Ta cnota wyraża się w bezinteresownej miłości Ojczyzny, w poczuciu obowiązku względem państwa i w braku wygórowanych ambicij osobistych, które dążą do wywyższenia się ponad innych. Jeśli taką miarą należy oceniać wartość rzeczypospolitej, to musimy chyba przyjść do wniosku, że w Polsce rzeczpospolita daleka jest od ideału. Nie chcę przez to twierdzić, żeby Polska była unikatem i ażeby w innych republikach cnota obywatelska była rzeczą powszechną. Konstatuję tylko fakt, który u nas tembardziej jest niewątpliwy, i który łatwo się tłumaczy, jeśli uwzględnimy, że szerokie masy ludności od bardzo niedawna wciągnięte są do życia publicznego i że nie miały wprost czasu na wyrobienie w sobie cnót republikańskich. Więc

dużo Polaków kocha Polskę, ale chyba niewiele jest takich, którzy ją miłują bezinteresownie. Obowiązki względem państwa spełnia się u nas raczej z musu lub dobrej fantazji, niż z wewnętrznego nakazu sumienia obywatelskiego. Co zaś do wybujałych ambicij osobistych i do chęci wywyższania się ponad innych, to wiemy, że są to cechy naszego charakteru narodowego. Przy tym stanie rzeczy, przy tych wadach i brakach, które są prawie powszechnem złem, trudno nie uznać, że republika nie jest dla Polski najbardziej dogodną i bezpieczną formą ustroju państwowego. Republika stawia swoim obywatelom tak wygórowane wymagania, że ogół nasz nie potrafi im jeszcze sprostać. Tymczasem wady i braki, na któreśmy wskazali i które bądź psują, bądź wprost zabijają republikę nie przedstawiają takiego niebezpieczeństwa przy ustroju monarchicznym. Montesquieu w znakomitem swoim dziele „*Esprit des lois*“ powiada: „nie trzeba wiele rzetelności (wśród obywateli), aby rząd monarchiczny mógł się utrzymać. Tu siła praw wszystko reguluje i wszystko utrzymuje w łańdźcie“. Poczucie honoru może w monarchji zastąpić, a nawet nieraz przewyższyć poczucie obowiązku cnotliwego republikanina. Ambicje osobiste, karjerowiczostwo, chęć wzbogacenia się i użycia, są dla republiki zabójczą trucizną;

w monarchji dadzą się należycie wyzyskać w interesie państwa i nieraz mogą zdziałać wielkie rzeczy. Monarchja może stawiać mniejsze wymagania naturze ludzkiej, gdyż posiada niezależne od niej gwarancje stałości, bezpieczeństwa i ładu (majestat panującego, dziedziczność tronu, tradycja dynastyczna), gdy tymczasem w republice wewnętrzna wartość każdoczesnych obywateli jest jedynem zabezpieczeniem wszystkiego (p. mój „Słownik polityczny“ p. t. „Monarchja“).

Nie mogę tu pominąć jeszcze jednej słabej strony ustroju republikańskiego, która ma znaczenie nietylko praktyczne, ale zasadnicze. W republice naród suwerenny, który ma sam sobą rządzić i musi zdobywać posłuch dla swojej władzy, nie znajduje uosobienia dla swej abstrakcyjnej i możnaby rzec anonimowej istoty. Pojęcie narodu, jako związku historyczno-politycznego, jako osoby moralnej, jest niewątpliwie pojęciem abstrakcyjnem. Jakże mało jest ludzi, którzy potrafią zrozumieć abstrakcję i jak mało jest takich obywateli moralnie zdyscyplinowanych, którzyby posłusznie słuchali nakazów jakiejś abstrakcyjnej zasady. Otóż prezydent w republice nie jest uosobieniem narodu. Możnaby go nazwać czasowym plenipotentem, upoważnionym przez naród do prowadzenia i zastępowania jego

spraw. Co innego monarcha. Ten nie jest zastępcą narodu, lecz panującym. Jako dziedziczny, a więc nieśmiertelny pan, personifikuje on ideę narodu. Przez taką personifikację naród staje się dla każdego pojęciem łatwo uchwytne, zjawiskiem realnem. Dla widomego pana, siedzącego na tronie dziedzicznym, posłuch i szacunek jemu należny jest rzeczą naturalną, hierarchicznie tradycyjną a nie wynikiem rozumowania państwowo - filozoficznego. Pod tym więc względem ustrój monarchiczny stawia również swoim obywatelom mniejsze wymagania niż republikański.

Poza temi momentami, wynikającymi z charakteru i politycznego wyrobienia narodu są jeszcze inne, o których wspomnę tylko przykładowo. A więc przedewszystkiem sytuacja geograficzna państwa. Im ta sytuacja jest bardziej zabezpieczona, bardziej z natury swojej obronna, tem dogodniejszą staje się forma ustroju republikańskiego, który się słabo nadaje do ciągłego zbrojnego pogotowia i trwogi wojennej. Państwo o granicach otwartych i strategicznie niezabezpieczonych winno by raczej obrać sobie ustrój monarchiczny, przy którym armja, spełniająca zresztą te same zadania co i w republice, może być lepiej wyzyskaną dla celów obronnych. Obrona bowiem państwa, naturalnie niebronnego, wymaga

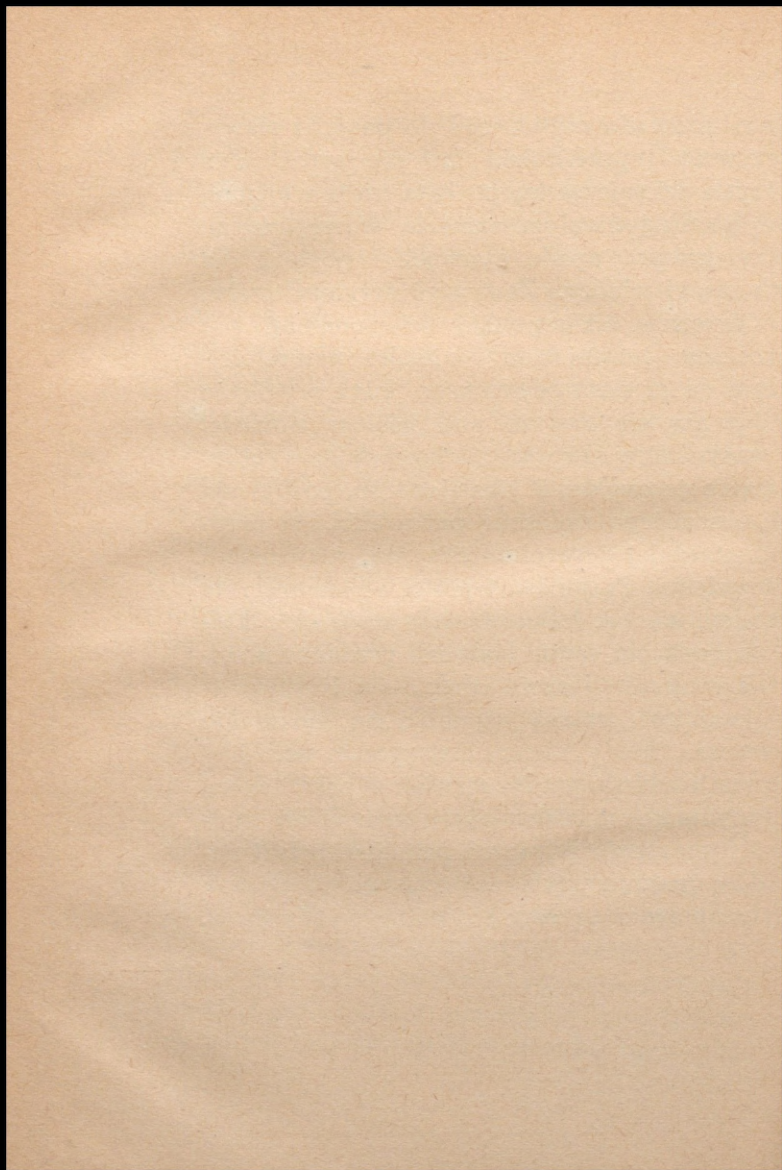
nietylko ciągłej czujności, ale tych stałych ośrodków woli i myśli, planujących na daleką przyszłość, których właśnie brak jest w republice, gdzie wszystko jest czasowe i obliczone na krótką metę. Dla jaśniejszego przedstawienia mej myśli, przytoczę tu jeden przykład z naszej własnej historii. Pamiętajmy o tem, że Polska już od XV w. stała się demokratyczną szlachecką republiką. Otóż przez cały szereg wieków byliśmy od południowego wschodu szarpani przez perjodyczne najazdy hord tatarskich. Biliśmy tych Tatarów okrutnie, wypędzaliśmy ich za każdym razem z granic naszego państwa, ale nie potrafiliśmy aż do ostatnich chwil naszego państwowego istnienia usunąć tego wiecznie wiszącego nad naszą krainą niebezpieczeństwa. Mieliliśmy wprowadzić królów, którzy zdobywali się na plan radykalnej akcji przeciwko tatarskiemu i muzułmańskiemu niebezpieczeństwu. Demokracja jednak szlachecka, a szczególnie ta, która była odległą od stepów ukraińskich, planu tego nie rozumiała i nie chciała się nań zgodzić. Król zaś elekcyjny, którego rządy mogły się lada chwila skończyć, był w Polsce zbyt słabym ośrodkiem woli i myśli, aby mógł swoje zamiary w czyn wprowadzić. Trwało więc po dawnemu pustoszenie naszych ziem i trwały stale zwycięskie nasze bitwy bez

rezultatu. I dopiero carowa rosyjska Katarzyna II, podbiwszy Krym, zrobiła z Tatarami porządek. Polski jednak już wówczas nie stało.

Z tych samych powodów, t. j. z braku stałych, dziedzicznych ośrodków najwyższej władzy, które mają możność przygotowywania dalekich i skomplikowanych planów, republika jest formą ustrojową mniej przystosowaną do takiej sytuacji, w której państwo zmuszone jest dokonać wielkich i trudnych zadań, wynikających bądź z historycznych jego przeznaczeń, bądź z konieczności utrwalenia swego niedość zabezpieczonego bytu (tak np. zjednoczenie ziem rozdzielonych granicami, rozszerzenie terytorjum państwowego i t. p.). Jednak i republika, jeśli jest dość mocno zorganizowana i jeśli potrafi zastąpić braki, wynikające z naturalnych wad demokracji, może niewątpliwie trudne zadania państwowe wykonać z sukcesem.

Niema więc, tak jak to wyżej zaznaczyłem, żadnego absolutnego kryterjum, któreby nakazywało politykowi wybierać między republiką a monarchją. Zresztą w praktycznej polityce takich rzeczy się zwykle nie wybiera. Zmiana ustroju państwowego następuje nie jako wynik wyrozumowanej reformy, lecz najczęściej jako reakcja przeciwko złym rządóm w danym ustroju. Jeśli monarcha rządzi mą-

drze i prowadzi swój naród do potęgi i sławy, przewrót republikański mu nie grozi. Ten przychodzi najczęściej po katastrofie wojennej lub po długotrwałym zamęcie wewnętrznym, przy którym upada szacunek i posłuch dla istniejącej władzy. Zauważyć przytem trzeba, że przejście od republiki do monarchji jest procesem łatwiejszym i niejako naturalniejszym od procesu odwrotnego, gdyż rewolucje odbywają się zawsze pod hasłem wolności i masy, które rewolucyj dokonywują, wyobrażają sobie zwykle, iż obalając tron, pozbywają się wszelkiego nad sobą panowania. A przytem trudniej jest obsadzić tron, niż znaleźć prezydenta. Pretendenci prawnie i historycznie ustalenie nie tak łatwo wracają na tron, z którego bądź oni sami, bądź ich przodkowie zostali zrzuceni. Jeszcze trudniejszą i ryzykowniejszą jest zmiana republiki na monarchję wówczas, kiedy niema historycznie ustalonej dynastji i kiedy trzeba stawiać zupełnie nową kandydaturę na nieistniejący tron. O tej trudności specjalnie powinien pamiętać polski naród, którego losy tyle razy na poważny szwank były narażane przez niefortunny wybór króla.



4. Ustrój władz w państwie

W tym rozdziale nie mam zamiaru pisać o tem, w jaki sposób powinien być zreformowany ustrój władz w dzisiejszem państwie polskiem. Czytelnik nie znajdzie tutaj szczegółowego i umotywowanego projektu zmian odpowiednich artykułów naszej wadliwej konstytucji. Wobec nadchodzącego momentu rewizji polskiej ustawy konstytucyjnej z 17 marca 1921 r., opracowanie takiego projektu jest rzeczą pierwszorzędną wagi i wielkiej aktualności. Nie mieści się ono jednak w ramach naszej pracy, której celem jest uprzystępnienie i wyjaśnienie szerokiemu ogółowi polskiemu na jakich podstawowych zasadach powinna się opierać polityka polska i jaki powinien być właściwy kierunek jej rozwoju. Pisząc więc o ustroju władz w państwie, będę chciał ustalić pewne prawdy, które mogłyby się stać dla naszej opinii publicznej punktami orjentacyjnymi, ułatwiającymi ocenę takich lub in-

nych programów, planów i posunięć politycznych. Nie obawiam się przytem zarzutu, iż przy każdej sprawie powracam do abecadła, albowiem ciągle mam to w pamięci, iż trudno jest posiąść alfabet i łatwo go zapomnieć.

Zacznijmy więc od początku. Jakie są władze w państwie? Pospolicie się mówi, że są trzy rodzaje władzy państwowej, mianowicie: władza prawodawcza, wykonawcza i sądownicza. Dodaje się przytem, że w prawidłowo urządzonem nowożytnem państwie winien być przeprowadzony ścisły rozdział tych trzech władz. Otóż ustalając te powszechnie znane prawdy, nie wolno nam zapominać o tem, że państwem rządzi władza najwyższa, władza udzielna i zwierzchnicza, lub mówiąc z cudzoziemska — władza suwerenna, która jest jedna, absolutna i niepodzielna. Dzierży ją i wykonywa każdoczesny panujący, którym może być, jak to wiemy z poprzednich rozdziałów, bądź monarcha absolutny, bądź monarcha konstytucyjny w imieniu narodu, bądź sam naród w ustroju republikańskim. Owa najwyższa władza obejmuje w sobie wszelkie dziedziny rządów i panującemu służy prawo wydawania ustaw jak i ich wykonywania, sądzenia sporów i karania winnych. Otóż panujący może, a przy pewnym rozwoju aparatu państwowego nawet musi, wydzielić pewne funkcje i powierzyć je

specjalnie do tego powołanym ludziom, organom czy urzędom. To więc, co my nazywamy rozdziałem władz w państwie, jest tylko rozdziałem funkcji najwyższej, niepodzielnej władzy państwowej. Panujący, który wydziela i powierza te funkcje swym pomocnikom i zastępcom, nie umniejsza przez to swoich uprawnień tak, jak dziedzic siedzący na majątku nie pomniejsza swej władzy przez to, iż oddaje prowadzenie gospodarstwa rządcy lub powierza swe rachunki buchalterowi.

Pamiętając więc o tem, że trzy wymienione kategorie władz są pochodniami jednej władzy najwyższej i że rozdział między nimi ustanowiony został dla porządku i prawidłowego funkcjonowania maszyny państwowej, zastanówmy się nad zasadniczymi kwestjami polityki aktualnej, które wiążą się z dziedzinami władzy prawodawczej, wykonawczej i sądowniczej.

Z prawodawstwem łączy się kwestja parlamentu i parlamentaryzmu. Nie znaczy to, aby parlament miał wyłączne prawo do pracy ustawodawczej i aby poza tą pracą nie miał jeszcze innych ważnych państwowych funkcji do spełnienia. Wiemy przecież, że wykonuje on kontrolę nad działalnością władzy wykonawczej i że w pewnych warunkach może nawet wykonywać władzę sądowniczą. Jednak stanowienie praw i uchwalanie ustaw jest je-

go pierwszorzędną atrybucją i dlatego parlament w potocznym języku stał się synonimem ciała prawodawczego. Parlamentaryzm zaś jest to system rządów oparty na parlamencie, jako zasadniczym organie władzy państwowej, który nietylko uchwala prawa i kontroluje władzę wykonawczą, ale który tworzy rząd, delegując doń ludzi ze stronnictwa większości parlamentarnej. Otóż od szeregu lat wiele się pisze i mówi o kryzysie parlamentaryzmu. Niewątpliwie kryzys taki istnieje, szczególnie w państwach europejskich. W ostatnich czasach doszedł on do tego, że w niektórych państwach parlamenty bądź wcale nie funkcjonują, bądź znajdują się w stanie dokładnie jeszcze nie ustalonego przeobrażenia. Jeśli parlamenty i rządy parlamentarne we wszystkich państwach europejskich nie są tem, czem się je mieć spodziewano, jeśli zawiodły nadzieje, jakie pokładali w nich konstytucjoniści i liberałowie XIX stulecia i jeśli niema dotąd ustalonego hasła i programu reformy, to warto jest zbadać, jakie są właściwie przyczyny tych zawodów i niepowodzeń. Dla nas ważnem jest przedewszystkiem wiedzieć, dlaczego chromał i chromać musiał parlamentaryzm w dzisiejszem państwie polskiem. Wtedy dopiero będzie możliwe szukanie i znalezienie właściwych dróg i sposobów naprawy.

Parlamentaryzm w formie, jaką mu chciał nadać liberalny wiek XIX, przyszedł na kontynent europejski z Anglii. Tam już w XIII w. istniał parlament, który przechodząc długą ewolucję, doszedł do szczytu doskonałości i potęgi w w. XVIII i na tej wyżynie przetrwał do obecnego w. XX. Wówczas mawiano, że w Anglii parlament może wszystko uczynić prócz jednej rzeczy, t. j. przerobienia kobiety na mężczyznę. Było to więc klasyczne sejmowładztwo. Mimo to władza monarsza nie traciła na znaczeniu i uroku, a rządy były silne, mądre i konsekwentne. Kiedy po upadku rządów absolutnych, gotowy wzór angielski został szablonowo zastosowany do kontynentalnych państw europejskich, efekt okazał się zupełnie inny. Zamiast kopji, uzyskano karykaturę. Wynikło to stąd, iż nie uchwycono zupełnie istotnego sensu angielskich instytucyj. Są przecież pewne kardynalne warunki, od których zależy wartość rządów parlamentarnych i bez których parlament na wzór angielskiego funkcjonować nie może. Trzeba po pierwsze, ażeby w państwie była nie wielka ilość (z reguły dwa, najwyżej trzy) wielkich stronnictw politycznych, z których jedno mające większość w parlamencie sprawuje rządy, a drugie, będące w mniejszości, stanowi opozycję. Każde z tych stronnictw winno mieć

jasny program o charakterze państwowym, ujmujący w odmienny sposób najważniejsze zagadnienia życia politycznego narodu i państwa. Każde z tych stronnictw, a więc nietylko to, które jest przy władzy, ale i to które znajduje się w opozycji, musi się w każdym momencie poczuwać do odpowiedzialności wobec narodu i państwa za swoją politykę, albowiem winno być zawsze gotowe do objęcia rządów w państwie. Stąd właśnie wynika, że opozycja angielska jest opozycją Jego Królewskiej Mości (*His Majesty's opposition*) t. j., że nie walczy tylko dlatego, aby robić trudności rządowi, ale na to, aby zdobywszy większość, stać się tego rządu następcą i innemi metodami kontynuować politykę swego poprzednika, politykę, mającą zawsze na celu najwyższe dobro i najwyższy interes narodu angielskiego i imperjum brytyjskiego. To też przy parlamentarystyce angielskiej zachowuje się ciągłość planu i działania, bez której niema racjonalnych rządów.

Na kontynencie Europy parlamentarystyka rozwinął się podobnie jak w Anglii, drogą wielowiekowej stopniowej ewolucji w dwóch tylko państwach, mianowicie w Polsce i na Węgrzech. Doszedł on jednak do zupełnie innego ukształtowania się niż w Anglii. Przyjrzymy się parlamentarystyce w Rzeczypos-

spolitej Polskiej, który nas tutaj bliżej interesuje. Posłowie do naszej dawnej Izby poselskiej, wybierani na sejmikach, otrzymywali od swoich wyborców instrukcje wiążące. Byli więc oni delegatami sejmików ziemskich, które im narzucały swoją wolę i zgóry określały stanowisko jakie musieli zająć w Sejmie przy obradach i głosowaniu nad poszczególnymi sprawami. Stąd w dawnej Polsce Izba poselska nie była zgromadzeniem przedstawicieli narodu, lecz raczej kongresem przedstawicieli ziem, wchodzących w skład Rzeczypospolitej. W tych warunkach nie mogło być mowy o tworzeniu się wielkich stronnictw politycznych, wystawiających program państwowy i których walka o większość i o rządy stanowi istotną treść systemu parlamentarnego. Były tylko grupy, koterje i fakcje. Nie istniała większość i mniejszość; sprawy decydowały się nie większością głosów. Do ważności uchwał potrzebna była jednomyślność, powszechna zgoda wszystkich posłów. Jeśli dodamy do tego, że rządu nie tworzył sejm i że rząd powołany przez króla nie ponosił odpowiedzialności politycznej wobec sejmu, to jasnym będzie jak dalece różnił się stary parlament polski od angielskiego. Otóż tradycja tego swoistego parlamentaryzmu do dziś dnia przechowała się w polskim narodzie. Konstytu-

tucja 3 Maja wprowadziła wprawdzie do naszego systemu sejmowania reformę w duchu angielskim i nowoczesnym, ale reforma ta nie miała czasu wejść w życie. Przyszły rozbiory, a państwa zaborcze nie dawały nam bądź wcale, bądź w bardzo niedoskonałej i niekompletnej formie możliwości zapoznania się z istotą i praktyką życia parlamentarnego. To też, kiedy po okresie niewoli Polska odrodzona nadała sobie wykończony na wzór zachodnio-europejski system rządów parlamentarnych, okazało się niebawem, jak mało on odpowiada pospolitemu sposobowi myślenia naszego społeczeństwa. Dotychczasowe doświadczenie naszego sejmowania i politykowania w odrodzonej Polsce jasno wskazuje na to, że społeczeństwo nasze niema zrozumienia i czuje jakiś instynktowny, starą tradycją wyhodowany niesmak do politycznej gry większości i mniejszości, która jest naturalną i niezbędną treścią nowoczesnego parlamentaryzmu. U nas przewaga większości zwykle odczuwana jest jako krzywdzący ucisk mniejszości. Namby się chciało ciągle dojść do zgody, do owej staropolskiej jednomyślności, która tak rzadko mogła być zrealizowana, a która i dziś może być osiągnięta jedynie w sprawach drugorzędnych i mało znaczących. Tem się dziś może tłumaczy tak powszechna u nas niechęć do konsta-

towania i ujmowania przeciwnych, a więc nie dających się pogodzić wielkich koncepcyj i programów politycznych, które muszą doprowadzić do decydującej walki między wyznającymi je stronnictwami. Jasny obraz takich zasadniczych przeciwieństw jest u nas zatuszowany przez istnienie całego szeregu podrzędnych grup, partyjek i facyj, które wykrzykują hasła swego kramiku i własnego partykularnego interesu. Kramarski zgiełk toczących się między nimi targów i poswarek, ubijania i rozbijania zgody stwarza właśnie ten chaos partyjnictwa, które tak zraża bezpartyjne społeczeństwo i zniechęca do niezbędnej walki o istotne ideały i cele państwowe. Dwa są w dzisiejszej Polsce wielkie programy polityczne, które są tak zasadniczo ze sobą sprzeczne, że tylko drogą walki i zwycięstwa jednego nad drugim, może być znalezione rozumne wyjście z tej sytuacji. Z jednej strony jest program narodowy, z drugiej program międzynarodowy. Walka między obozem narodowym a obozem międzynarodówek wszelkiego rodzaju narzuca się Polsce jako nieubłagana konieczność. Na terenie sejmu walka ta, skoncentrowana w dwu wielkich stronnictwach, dałaby pełną i jasną treść akcji parlamentarnej. Społeczeństwo jednak nasze nie rozumie konieczności skupienia sił do wygrania bitwy między

właściwymi przeciwnikami i na właściwym terenie. Społeczeństwo nie rozumie, że zwycięstwo jednego z tych zasadniczych programów załatwi w myśl jego postulatów inne programy podrzędnej natury i interesy mniejsze nie państwowej wagi. To też bezużytecznie rozprasza swoje siły, a wybierając posłów do sejmu ma na myśli nie stworzenie dwóch frontów i dwóch wielkich armij, które musiałyby rozegrać batalję, lecz namnożenie oddziałków partyzanckich, które w ogólnem zamieszanu jakąś własną zdobycz unieść powinny. Przy takim pojmowaniu parlamentaryzmu, zbudowanego na wzór angielski, nie można dojść ani do zdecydowanej większości, ani do decydującej walki o istotne zasady państwowe, ani do zgody pomiędzy poszczególnymi partjami i partyjkami i w rezultacie otrzymuje się bądź chaotyczne i bezcelowe sejmowładztwo, bądź jawną czy ukrytą dyktaturę rządu. Jeden i drugi wynik są dla prawidłowego funkcjonowania państwa zarówno szkodliwe.

Reforma więc naszego źle funkcjonującego parlamentaryzmu jest koniecznością państwową. Czy ma ona iść w kierunku zupełnego zniesienia parlamentu? Są ludzie w Polsce, którzy takie właśnie radykalne lekarstwo z zapalem wychwalają i propagują. Przypomina to ową anegdotyczną receptę o odcięciu gło-

wy dla pozbycia się bólu głowy. Pewno, głowa nie będzie boleć, skoro jej niema, ale czy przytem funkcjonować będzie serce lub żołądek? MoŜnaby z równą racją żądać skasowania rządu, jeśli dany rząd źle spełnia swoje zadanie. Trzeba pamiętać, że parlament ma sobie powierzona pewną funkcję najwyższej władzy państwowej, którą piastuje naród. Inną znowu funkcję tejże samej władzy spełnia rząd. W razie skasowania parlamentu jego władza wraca do narodu, ale bynajmniej nie przechodzi automatycznie na rząd. Przy konstytucyjno-parlamentarnym ustroju zachodnio-europejskiego typu, jaki dziś posiadamy, rząd nie stoi ponad parlamentem i uprawnienia tego ostatniego nie wypływają z woli władzy wykonawczej; raczej jest odwrotnie, skoro parlament ma prawo kontrolowania rządu. Ponad sejmem, tak jak ponad rządem i ponad władzą sadowniczą, stoi naród, któremu jedynie przysługuje władza najwyższa w państwie i który jeden ma prawo funkcje tej władzy rozdzielać i powierzać odrębnym instytucjom. Naród mógłby, kasując parlament, przekazać jego funkcje rządowi. Pytanie tylko, czy to by było posunięcie celowe i racjonalne. Nie zapominajmy, że parlament nie jest tylko ciałem ustawodawczem i że do niego należy także kontrolowanie rządu. NiemoŜna przekazać

rządowi kontroli nad rządem; byłoby to zniesieniem wszelkiej kontroli nad rządem i wytworzeniem rządu absolutnego. Już z tego przykładu widzimy, że usunięcie parlamentu nie jest łatwym i prostym sposobem wyjścia z trudności, jakie stwarza niezastosowany do warunków ustroj parlamentarny. Trzeba więc pomyśleć o innych środkach naprawy.

Naprawa ta mogłaby iść w dwóch różnych kierunkach. Należałoby bądź dostosować sposoby i formy naszego życia politycznego do tego typu ustroju parlamentarnego, któryśmy sobie na wzór angielski i zachodnio-europejski nadali, bądź też odwrotnie — dostosować formę i uprawnienia parlamentu do istniejących warunków naszego politycznego myślenia i działania. W obydwu tych wypadkach należy przytem mieć wzgląd na znaczenie narodu jako czynnika panującego i decydującego o losach państwa. Pierwszy sposób reformy byłby przedsięwzięciem nie rokującem powodzenia. Okazało się to zresztą w ciągu historii parlamentaryzmu w kontynentalnej Europie. Kryzys parlamentaryzmu wynikł właśnie z tego powodu, że społeczeństwa zachodnio-europejskie nie mogły się nałamać do treści i formy angielskiego życia politycznego. Nie łatwo jest zmienić psychologję narodu, urobioną długoletnią historyczną tradycją. Szcze-

gólniej trudno jest zaszcześcić obce formy ustrojowe wśród narodu, który wyrobił u siebie analogiczne formy o innej treści. Polska, jak wiemy, miała od dawna swój własny parlamentaryzm zupełnie odmienny od angielskiego. Tradycja tego parlamentaryzmu jest tak silna, że wtłacza w obce wzory swoje własne i z obcej doskonałej formy wytwarza ułamek bezużyteczny a nawet szkodliwy. Trzeba więc pójść w przeciwnym kierunku i zmienić ustrój, który nie odpowiada warunkom życia.

Jak to należy uczynić? Powtarzam to, co powiedziałem na wstępie niniejszego rozdziału, że nie przedstawiam szczegółowego projektu reformy naszej konstytucji i ustroju naszych władz prawodawczych. Wskażę tylko kilka myśli przewodnich, które dają orientację co do kierunku naprawy.

Otóż parlament jest przede wszystkim przedstawicielstwem narodu. Z pierwszego rozdziału niniejszej pracy wiemy już czym jest naród i jaka rola przysługuje mu w państwie dzisiejszem. Wskazałem tam na to, że w Polsce, pojęcie narodu nie pokrywa się z pojęciem ogółu obywateli państwa. Tymczasem nasza ultrademokratyczna konstytucja marcowa, wprowadziwszy zupełne równouprawnienie polityczne wszystkich, którzy formalnie są do państwa przynależni, sprawiła, iż parla-

ment w Polsce nie jest przedstawicielstwem narodu, lecz ogółu obywateli. Taki stan musi być stanowczo zmieniony. Jakże bowiem można dawać takiemu parlamentowi te wielkie uprawnienia, które mu z natury rzeczy przysługują i które istotnie posiada. Przecież tylko jeden naród polski (w znaczeniu politycznym a nie etnicznym) może mieć prawo decydowania o losach Polski, stanowić o jej prawach i urządzeniach, o pokoju i wojnie. Takie decyzje mogą być tylko wynikiem woli i myśli owianych wspólnym patryotyzmem polskim, a nie owocem wypadkowego kompromisu z czynnikami obcymi i wrogimi Polsce. Parlament więc, jaki dziś w Polsce posiadamy, nie może mieć praw parlamentu angielskiego czy zachodnio-europejskiego. Przekształcenie naszego parlamentu w przedstawicielstwo narodu może być dokonane różnemi, mniej lub więcej radykalnemi sposobami. Nie wchodząc w te szczegóły, zauważę tylko, że już przez odpowiednią reformę ordynacji wyborczej do ciał ustawodawczych, cel ten, jeśli nie w zupełności, to w znacznej mierze osiągnięty być może.

Parlament jest dalej ciałem ustawodawczem. Że to ciało prawodawcze winno być dwuizbowe a nie jednoizbowe, tego chyba dowodzić nie potrzebuję. Jeśli w pierwszym sej-

mie konstytucyjnym w tej kwestji toczyły się gorące walki i jeśli w drodze kompromisu utworzono senat, dając mu przytem śmiesznie nikłe prawa, to po kilku latach istnienia tego senatu, opinia publiczna przekonała się o jego wartości i o potrzebie wprowadzenia Izby wyższej z pełnemi prawami. Dziś niewielu się może znajdzie w Polsce zatwardziałych ignorantów, uważających system jednoizbowy za ideał parlamentaryzmu. Tych przekonywać nie warto i szkoda argumentów rzucać w próżnię. Przyjmując więc równowagę dwu izb prawodawczych za konieczny warunek prawidłowej i pożytecznej pracy ustawodawczej, musimy uznać, że parlament dwuizbowy, jeśli nie jest przedstawicielstwem narodu, a tylko zgromadzeniem obywateli, nie może dawać rękojmi, że prawa przez niego uchwalane odpowiadają zawsze interesowi narodu i państwa polskiego. O dobrem prawodawstwie w Polsce nie może więc dopóty być mowy, dopóki obydwie izby ustawodawcze nie staną się przedstawicielstwem narodu polskiego, dopóki walki parlamentarne nie będą się toczyły między polską większością i niepolską mniejszością i póki nie zostanie wykluczona możliwość, aby decyzja co do charakteru i treści uchwalonych praw mogła spocząć w ręku czynników i grup nie wchodzących w skład narodu polskiego.

Wreszcie w wykończonym systemie parlamentarnych rządów parlament tworzy rząd i kontroluje jego działalność. Przy takim systemie rząd jest delegacją stronnictwa, które ma większość w parlamencie. W myśl naszej konstytucji system taki istnieje w dzisiejszej Polsce. Nie istnieją tylko warunki niezbędne do funkcjonowania rządów parlamentarnych. Nie mamy bowiem dwu wielkich stronnictw przeciwstawiających się sobie w charakterze stronnictwa większości rządowej i opozycji, ale cały szereg partyj i partyjek, których stanowisko po tej lub owej stronie stoi ciągle pod znakiem zapytania. W tym stanie rzeczy, przy nieustalonej i niejasnej większości, tworzenie rządu przez parlament staje się nie naturalnym wynikiem jasnej sytuacji parlamentarnej, lecz procesem nieobliczalnym, dziełem przypadku i mniej lub więcej szkodliwych kompromisów. Że rząd, powstały z takich do-
rażnych kombinacyj i „krakowskich targów” między różnymi partjami, nie może być rządem silnym i konsekwentnym, to chyba nie ulega wątpliwości.

Parlament nie tylko tworzy rząd, ale go obala i zmienia. Wynika to z prawa kontroli, przysługującej parlamentowi i z odpowiedzialności rządu za jego polityczną działalność. Votum nieufności, uchwalone przez większość

parlamentu, powoduje upadek gabinetu. Jest rzeczą zwyczaju i praktyki, czy gabinet podaje się do dymisji po otrzymaniu votum nieufności od jednej tylko z izb prawodawczych. Często tak bywa, że brak zaufania ze strony Izby niższej wystarcza rządowi do wyciągnięcia politycznych konsekwencji. Jednak to nie jest konieczne i rząd mógłby się upierać przy pozostaniu na swem stanowisku, dopóki obydwie Izby nie uchwalą mu *votum* nieufności. W Anglii, odmiennie niż w innych państwach zachodnio-europejskich, upadek rządu nigdy prawie nie jest niespodzianką ani wynikiem przypadkowego głosowania. Tam rząd rozporządza stałą większością, która jego politykę popiera i podtrzymuje; zmiana zaś tej większości na mniejszość nie następuje z dnia na dzień, lecz wynika z wielkich zdarzeń politycznych, które zmieniają orjentację opinii publicznej w państwie. Rząd, czując tę zmianę i przewidując, że polityka jego słońnictwa nie zyska aprobaty kraju, powoduje rozwiązanie parlamentu i rozpisanie nowych wyborów. Większość, jaka się z tych wyborów wyłania obejmuje ster rządów, deleguje premiera i członków gabinetu. Opozycja w angielskim parlamencie, wiedząc, że obalając rząd, będzie musiała ująć władzę w swoje ręce i ponieść za to odpowiedzialność polityczną, walczy z rzą-

dem lojalnie, bez podstępów i sztuczek, bez wyzyskiwania okazji i wypadkowych efektów głosowania. Tak się dzieje w Anglii, ale inaczej jest w Polsce. U nas, przy braku ustalonych wielkich stronnictw, decydujących w walce parlamentarnej, wszystko właściwie zależy od przypadku — zarówno powstanie rządu, jak i jego odpowiedzialność polityczna i jego upadek. Parlament polski, w dzisiejszej jego formie, nie jest w stanie celowo i skutecznie kontrolować działalności rządu i powodować zmiany gabinetu. Nie mogąc zaś spełniać rozumnie nadanych sobie przez konstytucję atrybucji, musi tracić na powadze i znaczeniu. Gdyby zaś odjąć mu prawo kontroli nad rządem i decyzję co do zmiany gabinetu, to nie ma takiej instancji, przed którą rząd byłby odpowiedzialny za swoją politykę. Prezydent Rzeczypospolitej, który formalnie mianuje i odwołuje rząd, nie mógłby być taką instancją, albowiem on sam wobec narodu nie ponosi politycznej odpowiedzialności. Skoro każdy jego akt jest kontrasygnowany przez premiera lub odpowiedzialnego ministra, przeto odpowiedzialność rządu przed Prezydentem Rzeczypospolitej byłaby czystą fikcją i w rezultacie władza wykonawcza w Polsce stałaby się dyktaturą.

Z powyższych rozważań nad zagadnieniem polskiego parlamentaryzmu wyprowa-

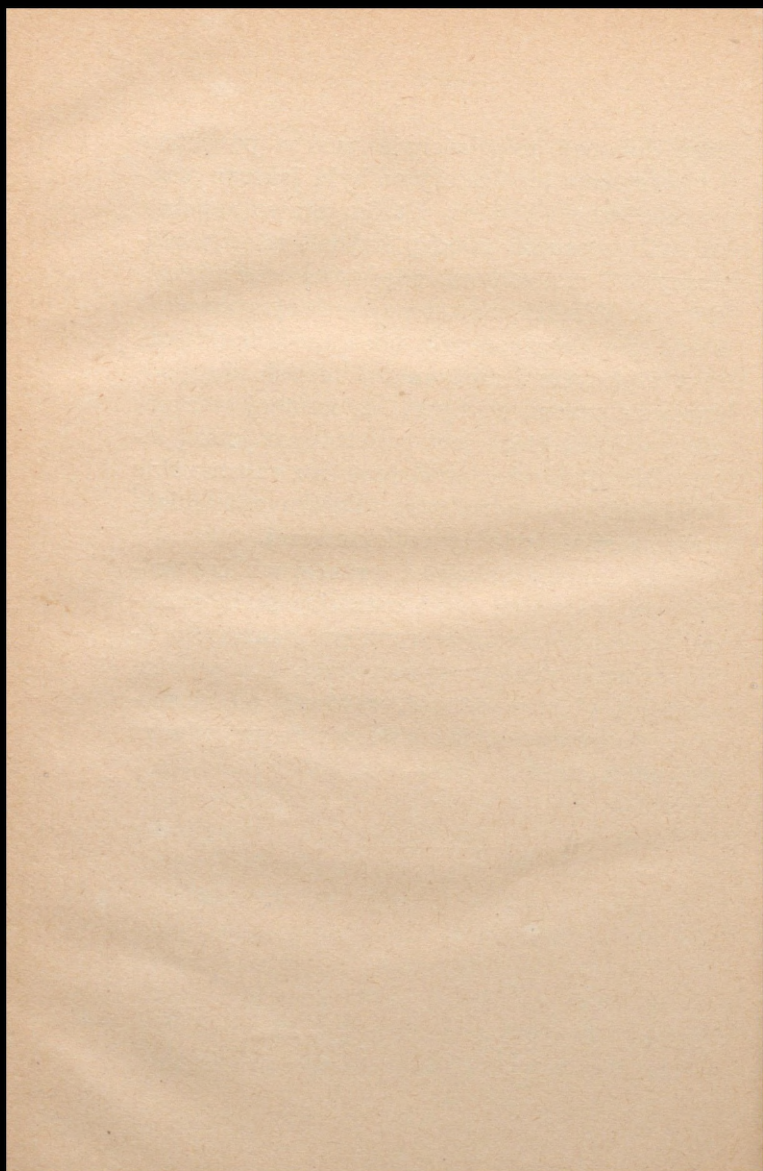
dzam następujące ogólne tezy, wskazujące drogę naprawy: 1-o parlament winien być przedstawicielstwem narodu a nie ogółu obywateli państwa; 2-o parlament winien się składać z dwu Izb prawodawczych — niższej i wyższej. Każda z tych Izb posiada pełnię praw w dziedzinie ustawodawstwa, lecz współdziałanie obu Izb jest konieczne do uchwalenia ustawy. Izby prawodawcze mogą kontrolować rząd drogą interpelacyj, lecz uchwalone przez nie *vo t u m* nieufności nie zmusza *i p s o f a c t o* rządu do podania się do dymisji, lecz jest wnioskiem, idącym na wyższe rozpatrzenie. 3-o Powinna być utworzona specjalna instytucja, posiadająca charakter niezależności i stałości, której naród powierza nadzór nad działalnością zarówno parlamentu jak i rządu. Instytucja ta byłaby Radą Najwyższą dla głowy państwa, w danym razie dla prezydenta Rzeczypospolitej; jej wnioski i opinie co do ważnych posunięć polityki państwowej (zmiana rządu, rozwiązanie Izb prawodawczych, zawarcie traktatów międzynarodowych, kwestja pokoju czy wojny i t. p.), musiałyby być w pewnej mierze i przy pewnych warunkach dla decyzji prezydenta Rzeczypospolitej miarodajne.

O władzy wykonawczej chcę tu powiedzieć niewiele. W naszej opinii publicznej ustaliło się dość powszechnie przekonanie o koniecz-

ności silnej władzy w Polsce. Hasło wzmocnienia władzy prezydenta Rzeczypospolitej rozbrzmiewa dziś z różnych stron i stawiane jest przez znaczną ilość stronnictw i grup politycznych. Nic słusznieszego. Słabość władzy wykonawczej w dawnej Rzeczypospolitej była przez długie okresy czasu niejako charakterystyczną cechą naszego państwa i niewątpliwie w dużej mierze przyczyniła się do jego upadku. Tej tragicznej nauki historii nie wzięliśmy jednak do serca w chwili odrodzenia państwa polskiego. Narzucony został wówczas Polsce przez tych, którzy się do jej odbudowy dorwali, system polityczny i ustrój państwowy, które, z haseł socjalistycznych i radykalno-demokratycznych zrodzone, silnej władzy dać Polsce nie mogły. System ten, mimo różnych przeobrażeń, zwrotów i zamachów, jakie się od dziesięciu lat dokonały, nie przestał dotąd ciążyć nad Polską niby grzech pierworodny dotąd nie odkupiony, niepokojący grzech „moraczewszczyzny”. I dotąd Polska niema silnego rządu. Twierdzenie to wyda się każdemu uzasadnionem, jeśli się rozważy na czem w gruncie rzeczy polega siła władzy rządzącej. Otóż rząd wtedy jest naprawdę silnym, jeśli, sam poddając się prawu, potrafi nietylko nakazać ale i wymódz powszechny szacunek i posłuch dla prawa. Jeśli rząd nie umie lub nie chce

tego dokonać, to właściwie wisi w powietrzu i egzystencja jego zależy od byle jakiego przypadku. Prawo bowiem i tylko prawo reguluje na stałe stosunki między ludźmi, między rządzącymi i rządzonymi, między narodami i państwami. Władza, nawet najbardziej stanowcza i najlepiej do czynu uzbrojona, jeśli traci kontakt z prawem i nie zmusza innych do poddania się prawu, pozbywa się istotnej gwarancji trwałości, która jest podstawą twórczej siły. Dla tych więc powodów pozwalam sobie twierdzić, że odrodzona Polska nie miała i niema silnej władzy wykonawczej.

O trzeciej funkcji najwyższej władzy państwowej wspomnę tylko ustalając starą prawdę, że kardynalnym warunkiem dobrego funkcjonowania władzy sądowniczej, jest jej niezawisłość i niezależność, zarówno od kierunków politycznych, jak i od wpływów władzy wykonawczej.



5. Sprawa mniejszości narodowościowych

Polska jest państwem, w którym prawie trzecia część ludności jest plemiennie niepol-ska. Statystyka ludnościowa (p. „Rocznik Sta-tystyczny“, R. IV 1925/1926, stosunki narodo-wościowe Tabl. V) wykazuje mianowicie, że na ogólną liczbę 27,176,717 mieszkańców, Po-laków jest 18,814,239. W pozostałej liczbie 8,362,478 mieszkańców ilościowo większe od-łamy stanowią: Rusini (3,898,431), Białorusini (1,060,237), Żydzi (2,110,448) i Niemcy (1,059,194). Pozatem mamy jeszcze nieznaczne ilości Li-twinów (68,667), Rosjan (56,239) i Czechów (30,628). To są cyfry. Robią one wrażenie i na nas samych i na obcych i dają powód do różnych interpretacyj i sprzecznych wnio-sków. Wynika to w pierwszym rzędzie z tego, że dziś w polityce zbyt wielką wagę przywią-zuje się do cyfr, specjalnie zaś do statystyki ludnościowej. Tak przy rozgraniczaniu tery-

torjów państwowych stawia się zasadę etnicznych większości. Jeśli, dajmy na to, na pewnem terytorjum mieszka 51% Polaków a 49% Niemców, to się uważa kraj ten za polski; jeśli jest odwrotnie, kraj ma być uznany za niemiecki. Stawianie takiej zasady jest niesłychanem uproszczeniem problematu granic, który jest, szczególnie w naszej starej Europie, bardzo skomplikowany i zależy od wielu czynników, które obecnie pomija się z wielką szkodą dla stosunków politycznych między narodami i państwami. Gdybyśmy granice państw nakreślać mieli jedynie z punktu widzenia etnicznego pochodzenia mieszkańców, to musielibyśmy doprowadzić do ciągłego ich kwestjonowania i do perjodycznego badania procentowych stosunków ludności mieszanej, zamieszkującej obszar danego państwa. Całość państw zależną byłaby wówczas od decyzji biur statystycznych lub od plebiscytów, które, jak uczy doświadczenie, są procederem niesłychanie wątpliwej wartości. Fakt, że w Polsce trzecia część ludności jest plemiennie niepolską, nie powinien nikogo ani zadziwiać, ani zbytnio przerażać. Oznacza on tylko tyle, że cała masa ludności państwowej nie potrafiła się jeszcze zlać w jedną politycznie narodową całość. Dlaczego tak jest, o tem wiemy już z poprzednich rozdziałów niniejszej pracy. 150 lat nie-

woli i wytężonej agitacji rządów zaborczych wśród mas ludności niepolskiej zahamowały naturalny dziejowy proces urabiania się jednolitego narodu polskiego z różnych żywiołów plemiennych, językowych i religijnych. Ten stan rzeczy powinien być być wzięty pod uwagę przez budowniczych odrodzonej Polski. Trzeba było dać Polsce taki ustrój i takie urządzenia, które mogłyby stworzyć dogodne warunki dla szybkiego zlania się ludności niepolskiej z całością narodu. Dla tego wielkiego celu, stanowiącego o całości i trwałości naszego państwa, trzeba było poświęcić predykcję do szablonowo-abstrakcyjnych i radykalno-postępowych doktryn. Stało się niestety inaczej. Z jednej strony, przez nadanie narodowi najwyższej władzy zwierzchniczej, stworzono państwo narodowe; z drugiej zaś strony dano Polsce takie urządzenia i poprowadzono taką politykę, że w konsekwencji legowany nam przez zaborców proces różniczkowania i wyodrębniania mniejszości narodowościowych nie tylko nie został powstrzymany, lecz przeciwnie, znacznie się wzmógł i przyśpieszył. Czy w tych warunkach można było, czy z punktu widzenia najistotniejszych interesów narodu i państwa godziło się wprowadzać u nas ustrój rządów parlamentarnych, oparty na szablonowym systemie najszerszego, jednolitego,

pięcioprzymiotnikowego prawa wyborczego? Wszak dla każdego przewidującego polityka było jasnem, że taki ustrój musi u nas w dzisiejszym momencie doprowadzić nietylko do ogólnego zamieszania partyjnego, ale także do propagowania na cały świat hasła odrębności i separatyzmu, głoszonych jawnie z trybuny parlamentarnej przez prowodyrów różnych mniejszości narodowościowych. Czy na naszych obszarach wschodnich należało pytać się szerokich mas ludności czy ona chce być „ukraińską“, czy białoruską, czy litewską, kiedy ta ludność pragnęła tylko jednego, aby ją napowrót i nieodwołalnie wcielono do państwa polskiego i poddano polskiemu panowaniu? Czy należało tam forsować tworzenie szkół „ukraińskich“, białoruskich i litewskich, kiedy ludność instynktownie i tradycyjnie garnęła się do szkoły polskiej i nie myślała bynajmniej bronić się przed wpływami polskiej kultury? I czy na zachodzie nie należało wobec Niemców wprowadzać w czyn z całą stanowczością i szybkością tych wszystkich uprawnień, które wynikały z postanowień traktatu pokojowego i z mocy naszego zwierzchnictwa państwowego tak, aby w najkrótszym czasie znikła wśród nich niewiara do siły polskiego narodu i aby oczy i myśli ich odwróciły się od Berlina i skierowały ku Warszawie. Takie zjawiska

o dziwnej i zabójczej nielogiczności przeżywamy od lat dziesięciu i nie przestajemy silić się nad wznoszeniem polskiej wieży Babel.

Skoro Polska posiada znaczną ilość obywateli, których odrębność plemienna, językowa i religijna bywa przez czynniki wewnętrzne i zewnętrzne wyzyskiwana dla celów antypaństwowych i odśrodkowych, to pierwszym nakazem polityki państwowej jest uniemożliwienie tym mniejszościom narodowościowym odgrywania roli mniejszości politycznych. Cel ten może być osiągnięty przez zastosowanie środków negatywnych i pozytywnych. Najradykałniejszym środkiem negatywnym byłoby zniesienie równouprawnienia politycznego między polakami, przejętymi patryotyzmem polskim a tymi obywatelami, którzy z racji swej odrębności etnicznej nie chcieliby zostać politycznie świadomymi członkami polskiego narodu. Mówiąc o państwie narodowym w I rozdziale niniejszej pracy wykazałem, do jakich nielogicznych i potwornych konsekwencji doprowadza u nas równouprawnienie polityczne wszystkich obywateli państwa, a więc i takich, którzy się jawnie lub skrycie własnemu państwu przeciwstawiają. Państwo musi się bronić przeciwko temu, aby jego wrogowie, pod osłoną obywatelstwa i nietykalności poselskiej, brali udział w decyzji o jego losie. Nie za-

pominam o tem, że istnieją bardzo poważne trudności zastosowania w dzisiejszej chwili tego radykalnego środka. Trudności te wynikają po części z psychologii naszego narodu, przepełnionej humanitarnym liberalizmem i pięknie brzmiącymi choć mało realnymi ideami równości. Ale są inne jeszcze trudności natury formalnej. Jeśli postanowienia naszej konstytucji mogą być w odpowiednim sensie zmienione przez akt własnej naszej woli, to rzecz się ma inaczej z zobowiązaniami międzynarodowymi, które zostały Polsce narzucone w chwili jej powstania. Tak mianowicie art. 7 traktatu zawartego między Głównymi mocarstwami sprzymierzonymi i stowarzyszonymi a Polską w d. 28 czerwca 1919 r. (a więc w dniu podpisania wersalskiego traktatu pokojowego z Niemcami) stanowi: „Wszyscy obywatele polscy bez różnicy rasy, języka, lub religji będą równi wobec prawa i korzystać będą z tych samych praw cywilnych i politycznych.“ Art. zaś 1 tego traktatu określa obowiązki Polski w sposób następujący: „Polska zobowiązuje się, że postanowienia, zawarte w art. 2 — 8 niniejszego Rozdziału, będą uznane za prawa zasadnicze (*fundamentales*), że żadna ustawa, żadne rozporządzenie, ani żadna działalność urzędowa nie stanie w sprzeczności lub w przeciwieństwie do tych postanowień, że żadna usta-

wa, żadne rozporządzenie ani też żadna działalność urzędowa nie będzie miała wbrew nim mocy." Jak widzimy, władza zwierzchnicza narodu polskiego została przez te postanowienia skrepowana w sposób bardzo drastyczny i na czas nieograniczony, albowiem termin trwania tego traktatu „mniejszościowego” nie został oznaczony. Czy te ograniczenia mają trwać wiecznie? Polska niewątpliwie powinna wypełniać zobowiązania, które chcąc czy nie chcąc na siebie przyjęła, lecz również niewątpliwie ma ona prawo dla słuszných i ważnych powodów wypowiedzieć traktat, który jej wolności i niepodległości uchybia. Trzeba pamiętać, że najpierwszym i najważniejszym obowiązkiem każdego państwa jest dbać o swą niepodległość i całość. Jeśli te najwyższe dobra są zagrożone, to winny być usunięte te więzy i przeszkody, które tamują swobodę ruchów, niezbędną do zażegnania niebezpieczeństwa.

Środkiem pozytywnym jest asymilacja polityczna mniejszości narodowościowych. Dla uniknięcia szkodliwych nieporozumień, podkreślam bardzo stanowczo, że taka akcja asymilacyjna nie powinna dążyć do tego, aby mniejszości narodowościowe wyzbyły się swych przyrodzonych pierwiastków etnicznych, swej kultury religijnej, językowej i obyczajowej. Powinno być osiągnięte w Polsce to, do czego

doszła już np. Francja, gdzie katalończyk, bask czy bretończyk, zachowując swój lokalny patriotyzm, czuje się ponadto gorącym patriotą francuskim. Czy to jest u nas możliwe? Nie da się na to odpowiedzieć w sposób ogólnikowy. Mamy wszak różne mniejszości narodowościowe o odmiennym charakterze historyczno-politycznym i o odmiennych cechach kultury. Każda z nich powinna być osobno traktowana. Najmniejsze różnice zachodzą między szczepami ruskim i białoruskim, które oddawna, na mocy bratniej ugody, wchodzą w skład Rzeczypospolitej Polskiej. To też za braci, za bliskich krewnych uważają Polacy Rusinów i Białorusinów i wszelkie z nimi nieporozumienia, kłótnie i walki traktują jako przykre i karygodne właśnie domowe. Ze swej strony masy ludu ruskiego i białoruskiego nie uważają bynajmniej Polaków za ludzi obcych, za najeźdźców lub zaborców. One nie znają niepodległości państwa ukraińskiego sztucznie i kłamliwie skomponowanej przez historyków ruskich à la baćko Hruszewski i rzucone w ostatnich czasach hasło „samostijnej Ukrainy”, nie wywołuje u nich oddźwięku. Chłop ruski na Wołyniu czy na Podolu nie rozumie dlaczego mu prawią o Ukrainie, skoro on wie, że Ukraina jest gdzieś dalej na Wschód. Niema on nawet poczucia swej ruskiej odrębności; mia-

nuje się najchętniej „tutejszym”, a język swój zwie zwykle mową „mużycką” czyli chłopską. Nietylko Wołyń i Podole, ale Polesie i prawobrzeżną Ukrainę uważa on za Polskę w odróżnieniu od obszarów zadnieprowych. Rządy polskie nad sobą odczuwa on jako prawowite, uświęcone tradycją, która się niezatarła. Niechęć ludu ruskiego do Polaków, których zawsze jak panów traktował, nie miała i nie ma dotąd charakteru polityczno - narodowego, ani nawet religijnego; jest ona natury czysto socjalnej. Pamiętajmy, że ongi, za dawnej Rzeczypospolitej, lud ruski szedł do buntów kozackich nie dla wywalczenia niepodległości Rusi lub dla obrony prawosławia przed katolicyzmem; szedł on nieraz pod wodzą polskich watażków (Kosińskiego, szlachcica z Podlasia), przeciwko swym panom, zarówno polskiego jak i ruskiego pochodzenia, którzy chcieli chłopów przytwierdzić do ziemi i zabronić im „kozakowania”. Nie o co innego chodziło w wielkim buncie Chmielnickiego, pomimo tego, że ambitny hetman zaporoski starał się nadać swej akcji charakter politycznych bojów o wolność Rusi kozackiej. A i wówczas Chmielnicki, który był niewątpliwie wybitnym wodzem i politykiem, niepotrafił doprowadzić do niepodległości Ukrainy; swobód kozackich nie wywalczył, poddał się carowi moskiewskie-

mu a kraj pogrążył w wielkiej „ruinie”. A cóż innego się stało z „samostijnością” Ukrainy, zaprowadzoną w r. 1918 przez bat’ka Hruszewskiego i Winniczenkę? Lud ruski niema w sobie tego stopnia świadomości narodowej, przy którym walka o niepodległość polityczną staje się koniecznością dziejową. Nie jest on wrogiem Polski jako państwa; czuje on tylko do Polaków, jako do klasy wyższej mniej więcej taką samą zawiść społeczną, jaką ma chłop polski z pod Poznania, Warszawy czy Tarnowa do klasy większych właścicieli ziemskich, do panów i szlachty. W tych warunkach asymilacja polityczna ludu ruskiego nie może być uważana za rzecz niemożliwą, ani za zadanie zbyt trudne. Jeśli w swoim czasie bez żadnego systemu ani nacisku mogła się szlachta rumska przejąć polskim patriotyzmem, jeśli się stało pospolitem zjawiskiem, że szlachcic ruski uważał się za *gente ruthenus natione polonus*, to dlaczegoż ten proces nie mógłby się odbyć dzisiaj w warstwie masy chłopskiej, która się próbuje politycznie wybijać tak, jak w XV w. wybijała się szara bractwa szlachecka? Starajmy się tylko o to, aby wielka siła atrakcyjna, jaką zawsze przedstawiała sobą polska kultura i cywilizacja, nie uszczuplała się i nie zmalała w oczach ludu ruskiego. Na tej sile cywilizacyjnej musi opierać się

polityka polska wobec ruskiej mniejszości narodowościowej w naszym państwie. Polityka ta nie ma bynajmniej mieć charakteru jakiegoś pochodu zdobywczego, jakiejś polskiej krucjaty przeciwko Rusinom czy Białorusinom. Przeciwnie. Winniśmy otoczyć ludność ruską co najmniej taką samą opieką ekonomiczną, jak ludność polską w innych połaciach naszego państwa. Nie powinniśmy lekceważyć ich obżędku religijnego i przedstawicielei ich władzy duchownej. Jednocześnie należy uczynić wszystko, aby ludność ruską przygarnąć do polskości, a nie od niej odpychać. Rusin powinien wiedzieć i czuć, że jest w Polsce, że polska władza ma prawo i wolę rozkazywania wszystkim. W polskim języku ma on rozkazy otrzymywać od każdego urzędu, i on, jako polski obywatel, winien otrzymać możność zdobycia takiego wykształcenia, które mu pozwoli również w polskim języku do każdego urzędu się zwracać. Takie wykształcenie powinien on otrzymać w szkołach polskich, do których dostęp powinien mu być ułatwiony. Znaleźć on w nich powinien niezbędne przygotowanie do objęcia na równi z Polakami stanowisk gospodarczych, społecznych i urzędowych. Przy takim systemie życzliwej opieki nad masami ludności ruskiej i białoruskiej, można mieć uzasadnioną nadzieję, że stępi się

ostrze agitacji ze strony ich separatystycznych prowodyrów i że ludność ta, nabierając znowu szacunku dla siły i powagi państwa polskiego, stanie się nie tylko uległą, ale i świadomą częścią narodu polskiego.

Niemcy są materiałem łatwym do asymilacji. Mamy wszak wśród nas wiele rodzin niemieckich szczerze i gruntownie spolonizowanych. Niezbędnym warunkiem takiego procesu asymilacyjnego jest, ażeby ustała a przynajmniej osłabła polityczna opieka państwa niemieckiego nad Niemcami w Polsce osiadłymi i ażeby ci Niemcy pozbyli się złudnych a inspirowanych im z Berlina nadziei, że polska niepodległość jest tylko zjawiskiem przejściowym, które zostanie wkrótce obalone w odwetowej walce germanizmu. Ten warunek może być osiągnięty przez prowadzenie polityki konsekwentnej i stanowczej, któraby świadczyła o tem, że polski naród ma dosyć siły, woli i mądrości, aby oprzeć się i zniweczyć intrygi i plany niemieckie przeciwko państwu naszemu skierowane. Nie należy bowiem zapominać, że Niemiec ugina się tylko przed siłą i że im dotkliwiej a nawet brutalniej ta siła im się daje odczuwać, tem więcej mają dla niej szacunku i uznania.

Inna sprawa jest z Żydami. Nie chcę tu omawiać całości kwestji żydowskiej, która jest

sprawą bardzo skomplikowaną, a przytem nie-tylko polską, ale międzynarodową. Wystarczy mi wskazać na fakt niewątpliwy, że Żydzi nigdy i nigdzie nie mogą się zasymilować ze społeczeństwem, wśród którego i na koszt którego żyją. Jeśli ich interes tego wymaga, to asymilują się tylko pozornie i powierzchownie, ale w gruncie rzeczy pozostają Żydami t. j. członkami międzynarodowej na momencie rasowo-religijnym zbudowanej organizacji, której cele stoją poza, a właściwie ponad celami narodów i społeczeństw, z którymi współżyją. Z tego powodu zmuszeni jesteśmy traktować Żydów jako ciało obce, a obecność jego daje się nam tem dotkliwiej odczuwać, że Polska posiada na swem terytorjum największe w Europie skupienie mas żydowskich, których liczba dochodzi do 10^o/_o ogółu ludności. Otóż ciało obce musi być traktowane jako ciało obce i to jest najogólniejsze wskazanie, jakie się narodowi naszemu narzuca przy układaniu stosunku swojego do Żydów. Jedną z logicznych konsekwencyj tego wskazania jest, iż nie powinniśmy dopuścić do tego, ażeby Żydzi odgrywali u nas rolę polityczną i aby mogli decydować o losach państwa, do którego nie chcą i nie mogą czuć polskiego sentymentu.

W rezultacie więc możnaby postawić tezę następującą: polityka wobec mniejszości

powinna dążyć do usunięcia podstaw, które stanowią rację bytu jej istnienia. Innymi słowy celem tej polityki jest, aby mniejszości etniczne, religijne i językowe utrzymane były w tym właśnie ich charakterze, a nie stały się lub przestały być mniejszościami politycznymi. Jest to więc polityka samounicestwienia.

6. Terytorjum i granice

Terytorjum jest niezbędną składową częścią pojęcia narodu. Naród niepodległy, posiadający organizację państwową, musi mieć określony obszar ziemi, na którym wykonuje swoją misję polityczną i tworzy własną historję. Naturalnem dążeniem narodu jest, aby cały ten obszar objęty był granicami własnego państwa, t. j. stał się jego terytorjum państwowem. Nie zawsze jednak da się to osiągnąć, a nieraz wskutek różnych kataklizmów dziejowych, przegranych wojen lub wewnętrznego rozkładu, przesuwały się granice i osiągnięte już terytorjum państwowe ulega uszczupleniu. Wówczas granice historycznego działania narodu nie schodzą się z granicami państwa, i najczęstszą konsekwencją tego faktu bywa, że naród podejmuje znowu walkę o zdobycie napowrót utraconych obszarów, z którymi go związała historja. Takie terytorjum historyczno-polityczne, którego granice zależne

są z jednej strony od sytuacji geograficznej, z drugiej zaś od siły i prężności narodu, należy ściśle odróżniać od terytorjum etnograficznego, t. j. od obszaru plemiennego zasiedlenia. To ostatnie jest tylko podłożem, na którem dana społeczność ludzka tej samej rasy, języka, plemienia czy narodowości osiedliła się, aby żyć. Obojętnem jest przytem, czy taka społeczność doszła do organizacji własnego państwa lub nie, czy zdobyła sobie niepodległość polityczną, i czy wykazała dążenia do dokonania własnej misji historycznej. Inaczej jest z terytorjum politycznem, które jest niezbędnem polem działania nie dla każdej etnicznie wyodrębnionej formacji, ale dla narodu jako związku politycznego, który potrafił się wybić na jednostkę historyczną. Tutaj o granicach tego pola działania decydują względy geograficzne i polityczne; granice zaś terytorjum etnograficznego nakreśla faktyczny stan etnicznego rozsiedlenia. Pomieszanie tych dwóch pojęć — terytorjum historyczno-politycznego i terytorjum etnograficznego — wynika z niewyjaśnienia sobie istotnej różnicy, jaka zachodzi między pojęciem narodu, będącego organizacją polityczną, a pojęciem szczepu, plemienia, narodowości, które są formacjami etnicznymi. Pomieszanie to może doprowadzić do fałszywych i niebezpiecznych dla pokoju

świata rozstrzygnięć politycznych. Za najlepszą ilustrację tego twierdzenia mogą służyć traktaty pokojowe, które zakończyły wielką wojnę światową. Twórcy tych traktatów, którzy przy kreśleniu nowej mapy Europy i przy rozgraniczaniu państw oparli się prawie wyłącznie na zasadzie etnograficznej z pominięciem momentów geograficznych i historyczno-politycznych, stworzyli w tem dziele pokojowym tyle powikłań terytorjalno-granicznych, tyle punktów spornych i międzynarodowych komplikacyj, że trudno przypuścić, aby skuteczną i sprawiedliwą radę na te niebezpieczne rozstrzygnięcia traktatowe mogły znaleźć takie instytucje, jak Liga Narodów i Trybunał międzynarodowej sprawiedliwości. Szczegółowiej dotknę tych spraw przy omawianiu terytorjum i granic Polski. Tutaj tylko zaznaczę, że 1^o hasło Wilsonowskie o prawie stanowienia o swoim losie może się stosować tylko do narodów w sensie politycznym tego słowa, a nie do związków etnicznych (szczepów, plemion, narodowości); i 2^o błędem jest wykreślanie dla narodów takich terytorjów państwowych, jakie odpowiadają obszarowi jego plemiennego zasiedlenia.

Historja nas uczy, że narody, ustalając i udeptując pole dla swych zapasów dziejowych, przekraczają często granice swego te-

rytorjum etnograficznego. Czynią to z różnych powodów i w różny sposób. Jedne zagarniają dalsze przestrzenie, aby uzyskać większy obszar ziemi-żywicieli, drugie, o charakterze wojowniczym i drapieżnym, dla celów podboju i dla zdobycia łupów, inne wreszcie, aby osiągnąć naturalnych granic ochronnych i zapewnić sobie bezpieczeństwo od sąsiadów. Jeśli przyległe ziemie są puste i niezamieszkałe, to rozszerzanie się terytorjów jest naturalnym procesem rozmnażania się danego plemienia, i nie znajduje przeszkód ani oporu. Ale kiedy sąsiednie tereny są zaludnione przez inne plemiona, to zagarnięcie tych terenów spowodować może różne polityczne skutki, zależnie od charakteru tych plemion i od sposobu, w jaki dany naród rozciąga nad nimi swoje panowanie. Jeśli naród zdobywa siłą oręża lub innymi gwałtownymi środkami sąsiednie terytorja, zamieszkałe przez plemiona o wybitnej odrębności etnicznej, które doszły już do organizacji narodowo-państwowej i do niepodległości politycznej, lub które dojrzały do zrozumienia potrzeby samoistnego bytu politycznego, to wówczas podbój taki rzadko kiedy da się utrwalić i przemienić w spokojne władanie. Inaczej jest, jeśli naród, zagarniając nowe ziemie, ma do czynienia z ludnością politycznie nie wyrobioną i bierną, lub jeśli powiększył swe tery-

torjum państwowe drogą aktów pokojowych i bez sprzeciwu lub oporu ludności ziem przyłączonych, czy jej legalnych przedstawicieli uprawnionych do decyzji. Wówczas ta ludność obcoplemienna staje się nowym i pożytecznym materiałem dla wzmocnienia sił narodu panującego t. j. narodu, który dał imię stworzonemu przez siebie państwu. Wówczas na tych terytorjach przyłączonych, mimo ich różnoplemienności, rozgrywają się dzieje i ustala się historia pod znakiem i pod imieniem narodu panującego i stworzonego przez niego państwa. Powstaje stąd związek między historją a jej terytorjalnem podłożem, związek, który nadaje krajowi piętno polityczne, staje się tradycją ludności i jest zwykle trwalszy od przemijających nastrojów i narzucanych a niezgodnych z tą tradycją haseł i dążeń.

Po tych ogólnych uwagach przejdźmy do terytorjum i granic Polski. Już w pierwszej ćwierci XI w. za Bolesława Chrobrego nakreślone zostały wielkimi orężnemi czynami tego króla linje graniczne naszego obszaru historyczno-politycznego i naszego państwa, a także wytyczone główne punkty polityki terytorjalnej naszego narodu. Bolesław Chrobry zrozumiał jak daleko sięgać powinna Polska, aby stać się państwem silnem i bezpiecznem od wrogów. Choć dzieje nie utrwaliły wszystkich

jego zamierzeń, choć wbite przezeń słupy graniczne musiały być przesunięte pod naporem sąsiadów, to jednak jego program terytorjalny nie stracił po dziś dzień swego znaczenia i aktualności. Walczył Bolesław o panowanie nad morzem, o powstrzymanie germańskiego Drang nach Osten, o ustalenie się na czesko-morawskich dziedzinach, jako obronem przedmurzu Krakowa, a siedł także zwycięsko na wschód, dosięgając linii Dniepru i szczerbiąc swój miecz na murach Kijowa. Po tylu wiekach, po tylu zmiennych fazach historii, czyż inaczej przedstawiają się nasze zadania dzisiaj w Polsce odbudowanej po wojnie światowej? Zapewne; dokonało się od owych czasów wiele doniosłych faktów, które zmieniły plan Bolesławowy na naszą niekorzyść. Zrozumieć znaczenie tych faktów, ocenić ich wagę na przyszłość jest obowiązkiem każdego dzisiejszego polityka polskiego. Z tej oceny wynikać jednak musi to przeświadczenie, że podstawa planu ostała się i służyć musi niezmiennie do kontynuowania dalszego programu terytorjalnego Polski. Sensem zaś najistotniejszym polityki Bolesławowej jest ta prawda niezmienna i ciągle nas obowiązująca, że Polska na to, aby mogła zachować swój byt niepodległy i bezpieczny, musi być państwem wielkiem, silnem i terytorjalnie rozległym.

Przypomnijmy sobie najważniejsze fakty historyczne, które na poszczególnych odcinkach poszczerbiły lub pozmieniały terytorjalną koncepcję Chrobrego. Najdonioślejszym z tych faktów jest zwycięski napór niemczyzny. Na zachodzie brutalnie i zdradliwie bijąca fala germanizmu znosi i zatapia liczne plemiona słowiańskie, i od Łaby poprzez Odrę na wschód przenosi granicę plemiennego osiedlenia słowian i politycznego ugruntowania się państwa polskiego. Na tej granicy załamuje się jednak niszcząca moc plemiennego germanizmu. Choć w XIV w. politycznie tracimy Śląsk, to plemiennie pozostaje on polskim, mimo niemieckiego nad nim panowania. A kiedy znacznie później, po rozbiorach Rzeczypospolitej, panowanie niemieckie przekroczyło tę granicę etniczną, to na nic się już nie zdały forsowne próby germanizacji polskiego żywiołu. Już od XIII w. ustala się wyraźna linja demarkacyjna polskiego plemiennego zasiedlenia na zachodzie i staje się niewzruszalną polityczną granicą polskiego narodu.

Od północy, na ziemiach pruskich, sadowią się w XIII w. Niemcy, pod postacią zakonu krzyżackiego. Zakon ten ma nawracać pogan pruskich, w rezultacie tępi ich, a na ich dziedzinach tworzy własne państwo i odcina Polskę od morza. To jest powodem zaciętej

i długotrwałej walki, jaką Polska musiała podjąć przeciwko Zakonowi. W r. 1410 na błoniach grunwaldzkich, Jagiełło, prowadząc hufce polskie, litewskie, tatarskie i czeskie, zadał potężde Zakonu krzyżackiego cios stanowczy. Ale dopiero w 56 lat później, po 13-letniej wojnie pruskiej i na mocy traktatu pokojowego, zawartego w Toruniu 19 października 1466 r. Kazimierz Jagiellończyk odzyskał dla Polski Prusy Zachodnie wraz z Warmją, a więc ujście Wisły z Gdańskiem i bezpośredni dostęp do morza. Niestety nie udało się wówczas wcielić całych Prus do Polski. Energiczne wysiłki mądrego i przewidującego króla, podjęte w wojnie pruskiej celem ostatecznego złamania Zakonu i utrwalenia się Polski nad Bałtykiem, nie znalazły wśród narodu polskiego należytego zrozumienia i poparcia. Cały ciężar wojny przeciwko Zakonowi spadł na króla, na Gdańsk, na związek miast pruskich i na Wielkopolskę. Małopolska zachowywała się niechętnie i biernie, a Litwa nie dała się poruszyć nawet obietnicą terytorjalnych nabytków od strony Żmudzi. Dość, że w ręku niemieckiego Zakonu pozostały Prusy Wschodnie z Królewcem, obowiązując się jedynie do stosunku hołdowniczego wobec Polski i do przyjmowania w połowie polskich rycerzy i obywateli w poczet członków Zakonu. Kazimierz

Jagiellończyk rozumiał, że sprawa nie jest jeszcze zakończona i że traktat toruński winien być podstawą dalszej polityki, mającej na celu inkorporację Prus Wschodnich i niepodzielne zawładnięcie Bałtykiem od granic polskiego Pomorza po Dźwinę. Panowie jednak mało-polscy i litewscy, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakim groziło pozostawienie w obrębie polskiego wybrzeża wbijającej się klinem w nasze ziemie twierdzy niemieckiej, woleli ciągnąć ku wschodowi i ku stepom czarnomorskim do drugiego południowego morza. Pokój toruński nie został wyzyskany, a po sekularyzacji Zakonu Polska niebacznie zezwoliła na zawładnięcie Prusami Wschodnimi księciu Brandenburskiemu. Ten fakt stał się złowrogim dla losów Polski. Sprawił on, że nazwa Prus przeniosła się nad Odrę i Spree, że poprzez Polskę ustalił się związek pomiędzy Berlinem a Królewcem i że powstało Królestwo pruskie Wilhelma i Fryderyka, które dążąc do złączenia swych terytorjów, doprowadziło do rozbiorów i upadku Rzeczypospolitej.

W wieku XIV Polska rozszerza granice swego państwa na wschód. Od strony południowej ustala ona za Kazimierza Wielkiego swe panowanie nad Rusią Czerwoną i nad Po-dolem, od strony północnej łączy się z Litwą

Jagiellową i wchodzącym w jej skład Woły-niem. Granice ówczesnego Księstwa Litew-skiego sięgały daleko poza Dźwinę i Dniepr, i gubiąc się w pustynnych stepach i puszczach, nie przedstawiały wyraźnej linii demarkacyjnej. Przed Polską otwarły się więc dalekie możliwości terytorjalne, w które mogła się za-puszczać prawie bez przeszkody, gdyż odległe przestrzenie dzieliły ją jeszcze od politycznych centrów odporu. Trzy były takie centra: Mo-skwa, która wówczas, silnie osłabiona przez jarzmo tatarskie, dopiero zbierała swoje siły, horda tatarska usadowiona na Krymie i nad ujściem Dunaju i wreszcie muzułmańskie pań-stwo tureckie. Z tymi przeciwnikami Polska zmuszona była przez długie wieki prowadzić zacięte i sławne boje, broniąc nietylko swoich posiadłości, ale całego chrześcijaństwa i dóbr przyjętej przez siebie zachodnio-europejskiej cywilizacji. Na przyłączonych zaś w XIV w. do Polski obszarach wschodnich nie było takich ośrodków władzy politycznej, poza oczywiście władzą wielkoksiążęcą na Litwie, z polskim tronem złączoną, któreby mu-siały ulec rozbiciu i ujarzmieniu. Księstwo Halicko-Włodzimierskie nie miało charakteru silnie zorganizowanego państwa, nie przewyż-szało znaczeniem innych księstw, które się na państwo polskie złożyły, i w krótkim swoim

żywocie nie odegrało poważniejszej politycznej roli. Księstwo zaś Kijowskie w początku w. XV traci już poprzednie swoje znaczenie i siłę. Kijów, który Rosjanie zwą kolebką Moskwy, poddaje się bez oporu polsko-litewskiemu panowaniu.

Panowanie to, w miarę jak zacieśniały się węzły między Litwą a Koroną i zacierały się różnice polityczno-ustrojowe między temi krajami, stawało się panowaniem Polski. Od Unji Lubelskiej w r. 1569 województwa południowo-wschodnie, a więc poza Rusią Czerwoną i Podolem także Wołyń, ziemie ukraińskie z Dzikimi Polami, Kijowszczyzna i Zadnieprze czernichowskie i połtawskie uznane zostały za formalnie należące do Korony. Na ziemiach północno-wschodnich jeszcze przez dwa wieki zgórą utrzymywała się nominalna odrębność W. Ks. Litewskiego, ale to terytorjum nietylko w rozumieniu Koroniarzy, ale w poczuciu szlachty miejscowej i nawet mas tubylczej i niewolnej ludności stawało się terytorjum państwa polskiego, a nazwa Litwy zacieśniała się coraz bardziej do małego skrawka plemiennego zasiedlenia Litwinów. Polskimi pozostały te terytorja po dzień dzisiejszy. Choć wiele się zmieniło, choć granice Polski odrodzonej nie dochodzą do Dźwiny i do Dniepru, to jednak dotąd chłop, przekraczając te

rzeki w kierunku zachodnim, wie o tem i wyraźnie to mówij, że wjeżdża do Polski. Mówi to bez niechęci, jako o rzeczy od dawna ustalonej, choć tak długo uczono go nienawidzić Lachów. Zrozumiemy to, jeśli sobie przypomnimy, że panowanie Polski nad wschodnimi obszarami, zarówno na północy jak i na południu, nie miało nigdy cech surowego władztwa zwycięzców nad pokonanymi i ujarzmionymi. Takiego władztwa nie było, bo nie było ani zdobywców, ani zdobytych. Na północy nikt się Polsce nie opierał, ani się jej nie przeciwstawiał. Na południu, na stepach ukraińskich, bywały bunty kozackie, ale nie miały one nigdy na celu wydobycia się z pod politycznego panowania Polski. Wspominaliśmy już o tem w jednym z poprzednich rozdziałów, że bunty kozackie miały charakter socjalny a nie polityczny. Kozacy nie stanowili przecież żadnej odrębnej i określonej jednostki plemiennej. Był to wolny lud, miejscowy i zamieszcowy, który chciał utrzymać wolność „kozakowania“ i nie chciał się poddać ani rejestrowi wojskowemu, ani rejestrowi rolniczemu, t. j. przytwierdzeniu do ziemi. O tę wolność kozakowania, o swobodę uciekania na Sicz i przedsięwzięcia wypraw rabunkowych, walczyły watahy kozackie przeciwko panom nietylko polskim, ale i ruskim, którzy

chcieli wprowadzić w kraju już dostatecznie zaludnionym ład, spokój i należytą gospodarkę rolną. Nawet Bohdan Chmielnicki, ten najgroźniejszy z buntowników, podniósłszy oręż przeciwko hetmanom i królewietom ukraińnym, nie miał na myśli ani oderwania się od Rzeczypospolitej, ani stworzenia samodzielnego państwa ukraińskiego. Poddał się on wreszcie carowi moskiewskiemu, ale prawobrzeżna Ukraina pozostała polską i Polska swoim kulturalnym wysiłkiem wydobyła te ziemie z ruiny, w jaką ją bunt Chmielnickiego na długie lata pogrążył. Przez tę pracę cywilizacyjną i budowniczą, przez to perjodycznie w ciągu wieków się powtarzające dźwiganie kraju z ruiny, zdobyła sobie Polska niewątpliwe i mocne prawo do uważania za swoje te ziemie ukraińskie, przecięte Dnieprem i gubiące się w dalekich przestrzeniach stepowych. O tem prawie, uznanem i tradycyjnie przechowywanem przez ludność tubylczą, nie powinni zapominać sami Polacy, którzy, w pełnej nieświadomości historycznych faktów, zastanawiają się nad tem, czy jest rzeczą sprawiedliwą, abyśmy władali ziemiami ruskimi. Wątpliwości te powiększyły się w ostatnich kilkudziesięcioleciach dzięki niedorzecznemu pomieszaniu pojęć i nazw. Termin Ukrainy został przez prowodyrów narodowego i antypolskiego ruchu ruskiego w b.

Galicji Wschodniej najfałszywiej przyczepiony do ziem, które nigdy nic wspólnego z Ukrainą nie miały. Stworzona została wówczas przez uczonych „ukraińskich” z „Hałyczyny” fantastyczna historia niepodległej Ukrainy,ciągającej się od Sanu po Don i dalej, która, urągając prawdzie historycznej, miała stać się podstawą dla wielkich planów na przyszłość i dla programu „samostijnoj Ukrainy”. Ponieważ tak się często dzieje, że największe brednie najłatwiej się przyjmują, więc też i dziś przeciętny Polak wyobraża sobie, że Polska odrodzona zagarnęła sobie części niepodległej ongi Ukrainy i że na terytorjum ukraińskim leżą takie miasta jak Lwów, Stanisławów, Tarnopol i Łuck. Czas byłoby zerwać z tą bezprzykładną ignorancją i nie iść na lep, świadomie przez wrogów naszych zewnętrznych i wewnętrznych rozsiewanych fałszów, służyć mających ku osłabieniu naszej narodowej psychiki i ku rozbiciu naszego państwa.

Tak więc co do wschodnich terenów Polski należy sobie zapamiętać następujące faktyczne dane: 1-o Ziemie te, plemiennie nie polskie, były od wieków polem ekspansji i kolonizacji polskiego narodu. Stąd też powstała w składzie ludności mieszanina etniczna tak znaczna, iż trudno dojść byłoby pochodzenia poszczególnych rodzin i jednostek. Szczegól-

nie wybitną jest ta mieszanina na połaciach południowo - wschodnich, które stanowią odwieczny pas koczownictwa i dokąd ciągnęli zewsząd osadnicy, żądni bujnej gleby, i mężowie orężni dla wypraw i przygód wojennych. Odbывał się tam na wschodzie podwójny proces asymilacji: warstwy wyższe ruskiego czy litewskiego pochodzenia polonizowały się, warstwy zaś niższe, pochodzenia polskiego, ztracały często swój język, i obyczajowo stapiały się z miejscowem otoczeniem. Nie było w Rzeczypospolitej planowej akcji, zmierzającej do polonizowania ziem ruskich czy litewskich. Samorzutnie szło w tamte strony osadnictwo polskie tak, jak żywiołowo przenikała na wschód i promieniowała aż poza Moskwę polska cywilizacja. To też kto dziś na ziemiach naszych wschodnich mówi po rusku, czy białorusku, nie jest koniecznie Rusinem lub Białorusinem, a nieraz Polacy tamtejsi są potomkami niepolskich rodzin tubylczych.

3-o Ziemie wschodnie prawie od początku istnienia państwa polskiego były terenem historycznej działalności polskiego narodu. Było to pole zmagania się Zachodu ze Wschodem, rzymskiej Polski z bizantyńską Moskwą, z azjatyckimi hordami tatarów i muzułmańską Turcją. Wielkie zdarzenia polskiej historii rozgrywały się na tem polu, które się rozszerzało

lub kurczyło, zależnie od naszych zwycięstw lub porażek. Dla naszej ekspansji ku wschodowi nie było granic uchwytnych naturą określonych, któreby oznaczały wyraźny cel do osiągnięcia. To też Polska szła ku wschodowi dokąd mogła, dokąd starczyło jej sił i rozpędu, szła nawet dalej niż mogła wobec niezabezpieczonej swej pozycji na północnym-zachodzie na wybrzeżu bałtyckiem. Musiała się więc cofnąć pod naporem krzepnącej Moskwy, musiała oddać swe przedpola na Ukrainnem Zadnieprzu i utracić znaczną część przedpola za Dźwiną.

3-o Jedynymi naturalnemi i strategicznemi granicami naszych ziem wschodnich są dwie rzeki: Dźwina na północy i Dniepr na południu. W tych granicach utrzymało się państwo polskie aż do chwili rozbiorów i upadku. W braku należytego przedpola, które przy rzecznych granicach jest strategiczną koniecznością, i w braku bezpośredniej komunikacji z morzem Czarnem, granice wschodnie Rzeczypospolitej z r. 1772 nie były ani dogodne, ani bezpieczne. Można by powiedzieć, że granice ówczesne szły bądź zablisko, bądź zadaleko. Tak czy inaczej, charakterystycznym znamieniem wschodnich granic Polski jest ich nieuchwytność, a więc ich mniejsza lub większa dowolność. Nietyle geografia, ile inne momenty decydować mogą o ich przebiegu.

Naszkicowany powyżej obraz historyczno-państwowego terytorjum Polski stawał przed oczami polityków polskich z obozu Popławskiego i Dmowskiego, którzy w okresie niewoli przygotowywali się myślowo i praktycznie do postawienia programu terytorjalnego i do nakreślenia granic naszego państwa w chwili, kiedy wybije godzina jego odbudowania. Z obrazu tego wyłaniały się pewne niezbite tezy polityczne, które stały się podczas wojny światowej i na paryskiej konferencji pokojowej podstawą żądań polskiego Komitetu Narodowego i polskiej Delegacji na konferencję pokojową. Tezy te są następujące:

1-o Polska niepodległa musi być państwem terytorjalnie wielkiem. Domaga się tego nasza sytuacja geograficzna, w której niema miejsca na małe państwo.

2-o Państwo polskie, pozbawione granic naturalnych od zachodu i od wschodu, winno oprzeć się możliwie mocno na tych granicach naturalnych, które posiada na północy i na południu, t. j. na Bałtyku i na łuku gór Karpackich. Stąd wynika konieczność posiadania dość rozległego wybrzeża morskiego i wszystkich ziem b. zaboru pruskiego; stąd niezbędność utrzymania w granicach Polski całego zaboru austriackiego z Rusią Czerwoną i galicyjskiem Podolem. Granica zachod-

nia zaznacza się wyraźnie linią demarkacyjną osiedlenia polskiego, które obejmuje także i Śląsk. Granica wschodnia jest płynna i powinna być posunięta tak daleko, jak tego wymagać będzie wielkość obszaru państwowego i konfiguracja całości, oraz jak na to pozwolą względy polityczne różnej natury.

3-o Polska musi być państwem silnem. Ekonomicznie biorąc, winna ona być krajem nie czysto rolniczym, lecz przemysłowo-rolniczym. To też Polsce powinno być zapewnione posiadanie Śląska, którego lud pozostał polskim, i który stał się wielkiem centrum przemysłu górniczego i hutniczego.

W myśl tych tez pracowali członkowie polskiego Komitetu Narodowego, urabiając opinię, opracowując książki i broszury propagandowe, przedkładając memorjały i noty rządowi aliantów i Radzie Najwyższej państw sprzymierzonych i stowarzyszonych. Nie tu miejsce na przedstawienie historii mozolnych usiłowań i zabiegów, czynionych na różnych terenach międzynarodowych przez ludzi od dawna związanych naczelną ideą przywrócenia Polsce niepodległego bytu. Zresztą historia ta częściowo została już napisana przez innych. Tutaj chcę tylko przypomnieć, jakie terytorjalne żądania stawiane były przez polski Komitet Narodowy na konferencji pokojowej

w Paryżu i jakim zostały uwiecznione rezultatem.

Zdawałoby się, że najprostszą i najlogiczniejszą metodą naszych rewindykacyj terytorjalnych mogło być postawienie żądania odbudowania państwa polskiego w granicach, jakie ono miało przed pierwszym rozbiorem. Wszak opinja świata cywilizowanego uznała rozbiory Polski za zbrodnię polityczną, a więc naprawienie tej zbrodni przez oddanie narodowi polskiemu tego, co mu zagrabiono, mogło być postulatem zrozumiałym dla tych, którzy chcieli zaprowadzić w świecie panowanie sprawiedliwości. Dla realnych polityków było jednak jasnem, że wystawienie takiego żądania byłoby romantycznym i bezcelowem uderzeniem w próżnię. Zbrodnia rozbiorów! Tak. Ale to się odbyło już tak dawno i w tak odmiennych warunkach, że dziś nikt się tem zbytnio wzruszać i przejmować nie może. Zresztą chodzi obecnie o dużo ważniejszą zbrodnię, która spowodowała katastrofę światową i wytoczyła morze krwi. Ukaranie sprawców tej zbrodni było nakazem sprawiedliwości, i aljanci byli mocno zdecydowani karę tę wymierzyć. Wiemy, jak stosunkowo łagodnie winowajcy zostali potraktowani. Lepiej więc było w stosunku do Polski nie zaczepiać idei sprawiedliwości.

Trzeba było operować innemi argumentami, raczej pozytywno-konstrukcyjnymi. Zamiast żądać restytucji ad integrum, wypadało uzasadniać potrzebę istnienia niepodległego państwa polskiego i korzyść, jakaby z tego wynikała dla równowagi europejskiej i dla pokoju światowego. Argumentów poważnych dla poparcia tej tezy było poddostatkiem i to różnego rodzaju. Ale i tutaj wybór był ograniczony. Ideologia doktrynersko-abstrakcyjna prezydenta Stanów Zjednoczonych Wilsona, który chciał odegrać rolę superarbitra pokoju, narzuciła przedstawicielom państw aljanckich i konferencji pokojowej w Paryżu dwie zasady, które miały być miarodajne przy rozstrzyganiu spornych pretensyj terytorjalnych i przy nakreślaniu nowej mapy Europy. Była to z jednej strony zasada etnograficzna, wyrażona w cyfrach statystyki ludnościowej, z drugiej zaś strony zasada wolności decydowania przez ludność zainteresowaną drogą plebiscytu o swej przynależności państwowej. Gdyby wskutek zastosowania tych zasad miały zapaść jakieś niezupełnie odpowiednie rozstrzygnięcia, to prezydent Wilson rachował na to, iż potrafi znaleźć odpowiednią radę. Miała nią być stworzona przez traktaty pokojowe, Liga Narodów, jako potężna instytucja, pilnująca powszechnego pokoju i międzynarodowej sprawie-

dliwości. W stosunku do Polski, zasada etnograficzna znalazła swój wyraz w 13 punkcie słynnej deklaracji Wilsonowskiej z 8 stycznia 1918 r., a także w deklaracji tymczasowego rządu rosyjskiego z 1917 r., uznająca niepodległość państwa polskiego na ziemiach zamieszkałych w większości przez Polaków. Komitet Narodowy i delegacja polska na konferencję pokojową zmuszone były przy uzasadnianiu terytorjalnych żądań Polski powoływać się w pierwszym rzędzie na argumenty etnograficzne i statystyczne, choć jasnem było, że te dane, z natury swej nieściśle i zawodne, nie mogą wystarczyć dla należytego uwydatnienia problemu granic państwa polskiego.

Ostatecznie, przy uwzględnieniu zasady etnograficznej, żądania polskie przedstawione na konferencji pokojowej w Paryżu, obejmowały: prawie cały zabór pruski ze wschodniem Pomorzem, z ujściem Wisły i Gdańskiem, Prusami Zachodnimi i Warmją; południowy pas Prus Wschodnich, zasiedlony przez Mazurów; większą część Górnego Śląska i Śląska Cieszyńskiego; cały zabór austriacki; całe Królestwo Kongresowe z wyjątkiem północnego skrawka b. gubernji suwalskiej, zasiedlonego przez ludność litewską; na wschodzie z t. zw. prowincji zabranych — gubernję grodzieńską, prawie całą wileńską, znaczną część mińskiej,

część mohylewskiej, skrawek witebskiej, część wołyńskiej i zachodni pas podolskiej po Dniestr, stanowiący tam granicę z Rumunją. Na takim terytorjum, ukonstituowane państwo polskie miałoby około 500:000 km. kw. obszaru i liczyłoby blisko 38 milionów mieszkańców. Pozatem Polska żądała, ażeby Litwa etnograficzna, do której miałyby wejść należące do Prus Wschodnich ziemie nad dolnym Niemnem z Kłajpedą i Tylżą, była ukonstituowana w granicach Polski, jako odrębny kraj z autonomicznym ustrojem. Co do Prus Wschodnich, proponowano ze strony Polski, aby zostały one oddzielone od państwa niemieckiego i aby stworzone z nich zostało niepodległe państewko, złączone unją celną z Polską.

Powyższy program terytorjalny, któryby mógł zapewnić Polsce byt naprawdę niepodległy i bezpieczny, a który jednocześnie gwarantował pokój w środkowej Europie i stawiał silną tamę zdobywczemu militarystyce Niemiec, został zrealizowany tylko częściowo i z wielką ujmą dla istotnego celu, do którego dążyli aljanci w krwawej walce z pruskim napastnikiem. Już na konferencji pokojowej nie dano nam ujścia Wisły z Gdańskiem, lecz stworzono tam obszar wolnego miasta, złączonego wprawdzie unją celną z Polską i pozbawionego państwowej suwerenności, ale odda-

nego pod opiekę Ligi Narodów. Niefortunną tę decyzję zawdzięczamy wpływom międzynarodowego żydostwa, które potrafiły przełamać dwukrotne postanowienia specjalnej komisji międzyaljanckiej do spraw polskich co do włączenia Gdańska w obręb państwa polskiego. Zgóry można było przewidzieć, że ustanowiona nad Gdańskiem opieka Ligi Narodów będzie wyzyskana nie w kierunku racjonalnego zbliżenia do Polski, lecz raczej w celu utrwalenia i spotęgowania jego „wolności“, którą Niemcy odrazu zdecydowali interpretować jako niepodległość. Następnie konferencja pokojowa nie odłączyła Prus Wschodnich od Niemiec, a wbijając klin pruski w ciało Polski i rozdzielając posiadłości państwa niemieckiego wąskim pasem polskiego korytarza, stworzyła wysoce niebezpieczną sytuację, analogiczną do tej, która w XVIII w. doprowadziła do rozbiorów i upadku Rzeczypospolitej. W wyniku plebiscytów, zarządzonych w Prusach Zachodnich, w Warmji, na Mazurach pruskich, na Śląsku Górnym i Cieszyńskim, któreto plebiscyty odbywały się nie w atmosferze spokoju, umożliwiającego wolną decyzję, lecz w ogniu zawziętych a nawet krwawych walk, Polska na tych odcinkach nie osiągnęła takich granic, jakie jej się słusznie należały nietylko w imię praw historycznych i potrzeb polityczno-ekonomicznych, ale

także z racji zasady etnograficznej. Litwa etnograficzna, czyli kowieńska, stała się państwem niepodległym, które, poddawszy się całkowicie wpływom obcym, przedewszystkiem niemieckim, za pierwszą swoją ambicję uznało pretendowanie do historycznego spadku po wielkiem, w XIII i XIV w. potężnie rozszerzonym Księstwie Litewskim Olgierdów i Jagiełłów, którego stolicą było Wilno. Dar zupełnej a tak nieistotnej niepodległości, uczynionej małemu i wymierającemu narodowi litwinów, dużo się już przyczynił do zamącenia spokoju na wschodzie Europy i wiele jeszcze może sprowadzić niepożądanych komplikacyj.

Granice wschodnie Polski nie zostały narysowane w traktatach pokojowych, które zakończyły wojnę światową. Wobec tego, że Rosja zawładnięta przez bolszewików nie brała udziału w pertraktacjach pokojowych, państwa aljanckie zastrzegły sobie w traktacie wersalskim prawo późniejszej decyzji co do granic między Polską a Rosją. Tymczasem, poczynawszy od r. 1919, Polska własnymi siłami zagarniała stopniowo wschodnie terytorja, które powinny były wejść w skład jej państwa. Niefortunna jednak wyprawa na Kijów wiosną 1920 r. spowodowała najazd bolszewicki, który w sierpniu tegoż roku dopiero nad Wisłą, pod murami Warszawy, został

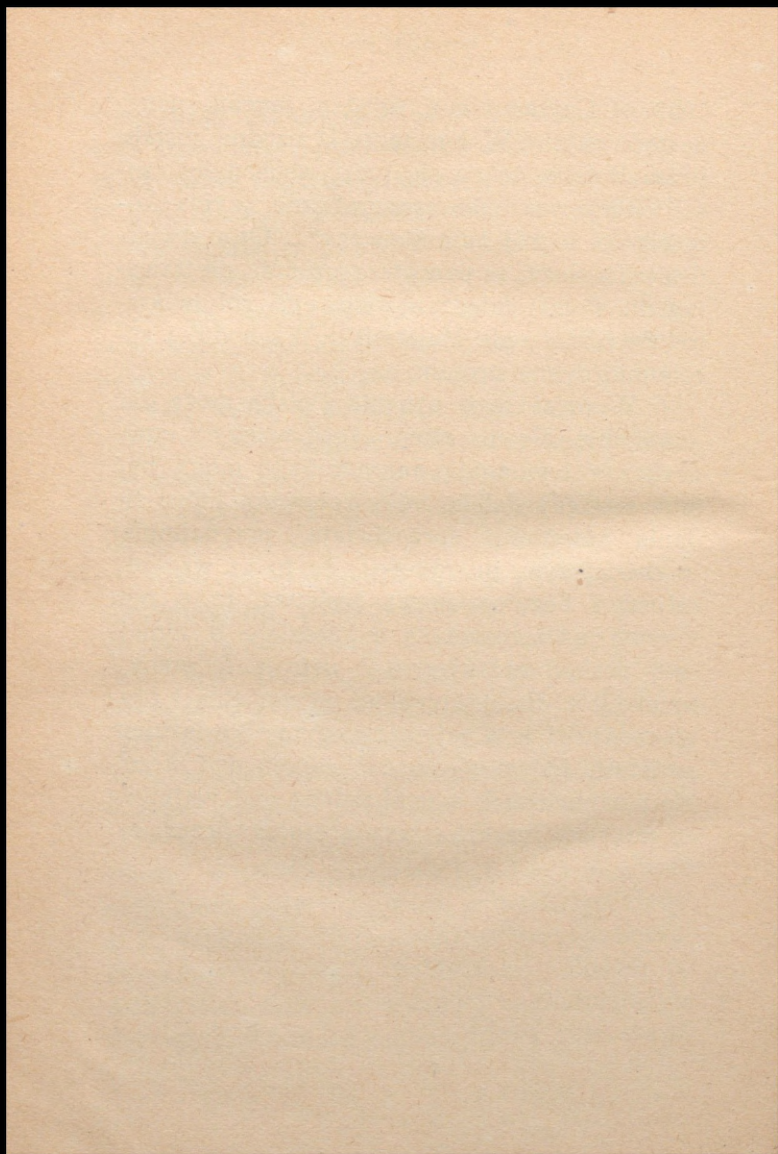
przez nas odparty. Choć armje nasze zwycięską kontrofensywą posunęły się znowu znacznie ku wschodowi, to jednak niedosięły one poprzednich pozycyj i rozejm, zawarty w Mińsku w październiku t. r., nakreślił granicę między Polską a Rosją, które znacznie kurczyły nasze posiadłości wschodnie w stosunku do programu terytorjalnego, wystawionego przez Komitet Narodowy. Traktat pokojowy, zawarty w Rydze d. 18 marca 1921 r., granice te zatwierdził. Trudno dziś dyskutować nad tem, czy można było wówczas uzyskać lepszą granicę wschodnią. Zdaje się jednak, — i możnaby znaleźć dowody dla uzasadnienia tego twierdzenia, — że bolszewicy spodziewali się postawienia z naszej strony daleko ostrzejszych warunków pokoju, i że większe żądania terytorjalne nie spotkałyby się ze zdecydowanym z ich strony oporem. Z drugiej strony trzeba przyznać, żeśmy w pertraktacjach z bolszewikami nie wykazywali psychiki zwycięzców, co musiało niewątpliwie zbytnio podnieść ducha w przeciwniku, który się miał za zwyciężonego. Pozatem na ukształtowanie naszej południowo-wschodniej granicy musiały mieć wpływ tajne zobowiązania, jakie zaciągnęliśmy idąc na Kijów wobec Petlury, jako przedstawiciela mającej się podobno utworzyć Ukrainy. Dość, że na południu granica poszła Zbruczem, t. j.

starą linią graniczną między Austrią i Rosją i że straciliśmy tam z wielką szkodą dla bezpieczeństwa naszego państwa zachodnie Podole z Kamieńcem i Płoskirowem i dwa południowo-zachodnie powiaty Wołynia, t. j. pas ziemi bardzo polski, żyzny i przemysłowy, a przytem zamykający od wschodu, niby wałem ochronnym, b. Galicję Wschodnią, o której przynależność do Polski, stoczyliśmy w r. 1918—19 krwawą walkę z austriackimi ukraińcami. Na północy zaś straciliśmy Mińszczyznę i Mohylewuszczynę i zdołaliśmy zaledwie wąskim pasem naszych posiadłości odgrodzić Litwę od Rosji.

Galicja Wschodnia została przez państwa sprzymierzone włączona do państwa polskiego decyzją Konferencji ambasadorów z 15 marca 1923 r. Dziś województwa lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie, które w potocznym języku stanowią Małopolskę Wschodnią, wchodzi na równi z innemi województwami w skład państwa polskiego. Poprzednie, z lat 1919 i 20 datujące się projekty specjalnego statutu autonomicznego dla b. Galicji Wschodniej, które były forsowane przez Lloyd George'a w Radzie Najwyższej mocarstw sprzymierzonych, zostały poniechane. Został po nich tylko ślad we wstępie, uzasadniającym decyzję Konferencji ambasadorów z 15 marca

1923 r. Czytamy tam, między innemi, ustęp następujący: „Wobec tego, iż uznane zostało przez Polskę, że co się tyczy wschodniej części Galicji, warunki etnograficzne czynią koniecznym ustroj autonomiczny“... Otóż stwierdzić tu należy, że powyższe uznanie nie stwarza dla Polski międzynarodowego zobowiązania do obdarzenia Małopolski Wschodniej autonomicznym ustrojem.

W myśl tego uznania Polska może dać autonomję, ale nie musi. Jeśli względy etnograficzne wymagają autonomji, to mogą być inne względy daleko większej wagi, które się daniu autonomji sprzeciwiają, przynajmniej w dzisiejszym momencie. Że to są względy całości i bezpieczeństwa państwa, to o tem wiemy już z rozważań w rozdziale II niniejszej pracy, traktującym o ustroju federacyjnym. Otóż dbałość o całość terytorjalną i bezpieczeństwo jest najważniejszym obowiązkiem państwa, który górować powinien nad wszelkimi momentami, a tembardziej nad wątpliwą co do swej wartości zasadą etnograficzną.



7. Polski patryjotyzm

Niepowinno to wydawać się dziwnem, że kwestję patryjotyzmu traktuję jako jedno z zagadnień polityki polskiej. Jeśli sobie uprzytomnimy, że największe i najtrudniejsze czyny, jakich naród dokonać musi w życiu swoim państwowem, wynikają z pobudek patryjotycznego poświęcenia się i zależne są od stopnia i rodzaju patryjotyzmu, to musimy patryjotyzm nie tylko uznać za realny problemat polityczny, ale postawić go na jednym z naczelných miejsc w rzędzie tego rodzaju zagadnień. Kwestje, któreśmy dotąd rozważali, a więc odnoszące się do ustroju państwa, do jego ludności i terytorjum, przedstawiają sobą zewnętrzne formy i mechanizm działania politycznego. Przy omawianiu zaś patryjotyzmu trzeba wnikać w wewnętrzną treść życia politycznego i zrozumieć, jakimi wewnętrznymi siłami rozporządza dusza narodu przy dokonywaniu ciężących na nim zadań politycznych.

Co to jest patryjotyzm? Jeśli powiemy poprostu, że jest to miłość Ojczyzny, to takie określenie daje bardzo niewiele dla oceny patryjotyzmu, jako realnego zagadnienia politycznego. Wiemy, że u wszystkich społeczeństw osiadłych istnieje miłość Ojczyzny jako przywiązanie do swej ziemi rodzinnej, do leżących w niej grobów przodków, do swego domu, do swego mienia i dobytku. Takie przywiązanie jest w tej samej mierze co instynkt samozachowawczy silną pobudką do obrony swej własności, a więc przy pewnych warunkach, w ostatecznym rezultacie, do obrony całości narodowego mienia i napadniętego przez wrogów państwa. Do innych, bardziej skomplikowanych zadań politycznych, taka miłość Ojczyzny, będąca właściwie miłością ojcowizny, nie daje się łatwo wyzyskać, a nawet wprost przeciwnie, przez swój niejako biologiczny egoizm, stanowi silną przeszkodę do dobrowolnego wysiłku i skutecznego czynu. Taki egoistyczny patryjotyzm stanowi tylko naturalną i zdrową podstawę, na której wyhodować się może poczucie wyższego stopnia, wchłaniające w siebie z biegiem historii i cywilizacji różne pierwiastki psychiczne, które nadają swoisty ton patryjotyzmowi poszczególnego narodu.

Stąd wynika, że patryjotyzm tego wyższego typu jest wartością bardzo różną u poszcze-

gólnych społeczeństw i narodów. Pomijając cały szereg momentów historycznych i politycznych, które się składają na urobienie zbiorowej duszy narodu, już sam charakter miłości, będącej uczuciem poniekąd wrodzonym, przedstawia wiele różnic, które odbijają się na charakterze patryjotyzmu. Miłość, zarówno u jednostki jak i u zbiorowości ludzkiej, przejawia się niejednakowo i doprowadza nieraz do wprost przeciwnych odruchów i czynów. Miłość bywa bierną lub czynną, doprowadza do rzewnej rezygnacji lub do ofiarnego wysiłku; miłość bywa ekskluzywną lub rozlewną: w pierwszym wypadku powodując uczucia zawzięci lub nienawiści, w drugim doprowadzając do obojętności; miłość bywa egoistyczną lub altruistyczną, prowadząc do zbrodniczego wywyższania swej własnej korzyści, lub do zataraty instynktu samozachowawczego. Najrzadszą jest niewątpliwie taka miłość, która czyni wszelkie wysiłki, aby zapewnić najwyższe dobro przedmiotowi swego ukochania. Jest to miłość osoby czy idei dla niej samej. Ten rzadki charakter miłości nadaje się niewątpliwie najlepiej do urobienia czystego i ofiarnego patryjotyzmu.

Poza miłością, której charakter, z natury swej już bardzo różnorodny, podlega wszak przemianom w zależności od czynników ze-

wewnętrznych, jest jeszcze do uwzględnienia przy analizie patryjotyzmu drugi moment, którym jest przedmiot miłości, a więc Ojczyzna. Pojęcie Ojczyzny jest też bardzo rozmaite u różnych narodów. Mówiąc o narodach, mam na myśli narody, jako organizacje historyczno-polityczne, a nie formacje etniczne. U tych ostatnich patryjotyzm jest właściwie tylko miłością ojcowizny. Pojęcie zaś Ojczyzny wytwarza się dopiero wtedy, kiedy społeczeństwo ludzkie, zdobywszy sobie niepodległość państwową, jednoczy się w związku politycznym, mającym swoistą i odrębną ideę swej historycznej działalności. Ojczyzna jest więc pojęciem politycznym tak różnorodnym u poszczególnych narodów, jak różnemi są drogi, któremi kroczą ich dzieje.

To wszystko nam wyjaśnia, że traktując patryjotyzm jako zagadnienie polityczne, musimy o nim mówić nie abstrakcyjnie, w ogólności, lecz konkretnie, w odniesieniu do danego narodu. Tu chodzi mi o rozważenie pytania, jak się przedstawia patryjotyzm polskiego narodu.

Były w naszej historii momenty fatalne, które nam wyrobiły wśród obcych opinię narodu pozbawionego patryjotyzmu. Były też momenty inne o barwie tragicznej, w których Polska wobec świata uchodziła za synonim

i szczyt najbardziej szlachetnego i ofiarnego patriotyzmu. Te, tak rażąco sprzeczne oceny, są dostateczną wskazówką na to, jak bardzo skomplikowany jest problemat naszej polskiej miłości Ojczyzny. Niepodobna bowiem, aby naród o długowiekowej historii, w pewnych okresach był wyzuty z wszelkiego patriotyzmu i nagle dochodził do najwyższego napięcia tego uczucia. W specjalnej istocie polskiego patriotyzmu trzeba będzie szukać wytłumaczenia dla tych paradoksalnych objawów.

Najbezwzględniej odsądzono nas od patriotyzmu w okresie rozbiorów naszego państwa. Nikt z cudzoziemców, obserwujących Polskę w owym czasie, nie mógł zrozumieć jak to było możliwe, żeby liczna, bogata i rycerskim animuszem obdarzona szlachta polska przypatrywała się spokojnie, z tępą obojętnością, jak mocarstwa ościenne bez dobicia oręża rozćwiartowywały i stopniowo zagarniały terytorjum tak ongi świetnego i potężnego państwa. Gdyby się chciało ów fakt, niepojęty cudzoziemcom, tłumaczyć w ten sposób, iż owa szlachta polska w ogromnej większości poprostu nie rozumiała co i jak się w koło niej działo i jaki ostateczny cios zadawano jej wolności, toby prawdopodobnie uznali oni taką odpowiedź za obłudne i niegodne zrzucanie z siebie winy. A jednak to było prawdą. Na-

turalnie dotyczy to nie przenikliwych jednostek i nie płatnych zdrajców, ale tej masy narodu, stanowiącego polską demokrację szlachecką. W naszej literaturze nie zastanawiano się nad tym politycznie i historycznie ciekawym tematem. Jeden tylko Żeromski w „Popiołach” z przedziwną intuicją uchwycił i odtworzył zagadkę bierności narodu wobec gwałtu rozbiorów, zagadkę, która tak ponury, prawie haniebny cień na Polskę całą rzucała. Czy ów stary szlachcic z pod Łysej Góry rozumiał co się z Polską dzieje, dopóki urzędnik austriacki nie wmieszał się w imieniu wiedeńskiego rządu do jego osobistej nad poddanymi władzy? Czy cała demokracja szlachecka, która sama decydowała o losach państwa, a najwyższym umysłem swoim ogarniała powiat, mogła wówczas zorjentować się w ogromie niebezpieczeństwa i druzgocącej doniosłości katastrofy? Na jakież to rzeczy z naiwną obojętnością patrzyła owa rycerska brać szlachecka przez długi okres upadającej Rzeczypospolitej, i na co pozwalała ta dumna szlachta z lekkomyślnością niedbającego o ruinę pana. Kto chciał, grasował na ziemiach polskiego państwa: Szwedzi, Moskwa, Tatarzy, Kozacy, Węgrzy, Sasi i Prusacy. I jakoś się to wszystko kończyło, wrogowie wychodzili z granic Rzeczypospolitej, i znowu jaśniała w całej pełni, jaśniała

pozornym już tylko blaskiem dawna wolność i świetność szlacheckiego narodu. Jak się przytem przedstawiała istotna wolność państwa, do czego szła polityka polskiego narodu, — nad temi zagadnieniami mało kto wówczas myślał i prawie nikt doniosłości ich nie rozumiał. Wolność i niepodległość Ojczyzny nie były tyfikowano wówczas z prawami szlachty i one były „żrenicą wolności”, której naprawdę należało bronić. Pojęcie całości terytorjum i stałości granic wówczas nie istniało. Granice wszak ciągle ulegały zmianom, szczególnie na wschodzie; co się dziś utraciło, mogło być odbrane jutro. Utratą całej połaci kraju, utrwili się właściwie ci, co byli stamtąd przez wroga wyrzuceni i utracili swoje ziemie i fortuny. Niewiele to obchodziło tę szlachtę, która daleko była od zgiełku wojennego i która dobrze i spokojnie czuła się na swoich majątnościach. To też zmobilizować pospolite ruszenie w tych spokojnych województwach dla obrony gdzieś daleko zagrożonych granic, było rzeczą niesłychanie trudną, prawie niemożliwą. Na pomoc szły tylko województwa bliższe, które już widziały łuny pożarów i bały się, by się to na ich ziemie nie przeniosło. Dawna Rzeczpospolita Polska była właściwie związkem ziem, z których każda żyła do pewnego stopnia sama dla siebie i która nawet

wtedy nie traciła związku z Polską, kiedy zagarnięta została w granice obcego państwa. Kiedy województwa czernichowskie i połtawskie odpadły od Polski, posłowie tych ziem zasiadali jak dawniej w sejmie polskim. Unosiła się nad ówczesną Polską i tkwiła podświadomie w duszy jej narodu abstrakcyjna idea wielkiej, niespożytej i nieśmiertelnej całości, a realne fakty, które tej idei przeczyły i całość szarpały, nie umniejszały wiary, nie gnębiły sumienia, nie pchały całego narodu do powszechnego i potężnego czynu. Nie wierzano, aby po tylu przebytych szczęśliwie klęskach, Polskę mógł spotkać jakiś cios ostateczny. Wierzano, iż Polsce nie może być uczynione zło przez sąsiadów, skoro ona tym sąsiadom zła czynić nie zamierza. Przy takim pojmowaniu rzeczy zło najwyższe nie polegało w tem, że Polska w całości, czy w części, dostawała się pod panowanie obcego monarchy. I to już przecież bywało, a Polska nie zginęła. Zresztą mało to mieliśmy obcych królów, zasiadających prawowicie na tronie polskim? Jeśli jaki król zasiadał na tronie bez poprzedniego obioru na Woli, to przecież szlachta mogła post factum prawo swoje dokonać, zatwierdzając swymi głosami nieprawą uzurpację. A jeśli było trzech królów, dzielących się tronem polskim, to czyż i tego nie bywało

w Rzeczypospolitej, że się kilku pretendentów dobijało o koronę Piastów i Jagiellonów? Wobec takiej tradycji, wobec braku wszelkich władczych ośrodków myśli politycznej, wobec rozproszkowania aż do zaniku władzy zwierzchniczej, której dzierżycielem prawnym był ogół szlachecki, wobec wreszcie zupełnej ignorancji stosunków międzynarodowych i polityki, którą obce mocarstwa wobec Polski stosowały, czyż można się dziwić, że rozbiory Polski dokonały się wśród bezwładnej obojętności narodu, który nie widział, że traci Polskę? Patriotym polski w gruncie rzeczy nie był wówczas mniejszy, niż za czasów Jagiellonów, tylko dźwignia, która mogła go poruszyć w jedynie właściwym kierunku, była innego rodzaju niż u innych narodów, i w samej Polsce nie było komu zrobić z tej dźwigni użytku. Według miary i pojęć innych narodów mógł to być tylko brak patriotyzmu, ale przy swoistej psychice ówczesnego polskiego narodu było to tylko tragiczne nieporozumienie. Trzeba tutaj przypomnieć, że kiedy tylu europejskich polityków i mężów stanu w okresie rozbiorów Rzeczypospolitej z lekceważeniem i prawie pogardą traktowali Polaków, kiedy głosili, iż jesteśmy niegodni wolności i że co najwyżej stanowimy dobry materiał na lekką kawalerję, to jedynie pruski minister Stein uważał taką

opinię za mylną i przestrzegał przed oporną siłą polskiego patryjotyzmu. Że przestrogi jego były słuszne, dowiodły późniejsze dzieje rozdartej i pogrzebanej Polski.

W okresie niewoli patryjotyzm polski, choć zmienił swój charakter i swoje napięcie, wyrósł na tradycyjnej podstawie, przekazanej mu przez demokratyczną Rzeczpospolitą szlachecką. Charakterystyczną jego cechą pozostała nierealność i rozpływająca się w abstrakcji ideowość. Teraz, kiedy państwo własne zostało unicestwione, Polska, w której nieśmiertelność wierzone święcie, o której wolność walczone i dla której znoszono najsrozsze prześladowania, Polska stawiała się dla ogółu polaków jeszcze bardziej nierealną, bardziej niezależną od warunków materialnych, geograficznych i politycznych. Nie mogła ona zginąć, póki my żyjemy, ale jej istnienie przedstawiało się możliwem przy rozmaitych kombinacjach terytorjalnych i granicznych, które zresztą w duszy polskiej nie odgrywały ważniejszej roli, i nad którymi mało kto się zastanawiał. Każona piętnem obcem, zamazywana i przeinaczana, Polska, ta istotna i umiłowana, odrywała się od ziemi i unosiła się nad nią w jakiejś wielkiej, płynnej całości, niby obłok różany, płonący nadzieją, niby chmura, z której raz po raz ciężkie spadały gromy. W po-

korze kających się grzeszników, w religijnie romantycznym uniesieniu, polacy czynili ze swej pogwałconej Ojczyzny mistyczny ideał ofiary, mającej odkupić grzechy innych narodów, ideał cudownego zmartwychwstania, który jako nieskalana świętość wzbijał się coraz wyżej i wyżej do tronu Przedwiecznego, który nas kiedyś z niewoli wybawić raczy. Do takiej idealnej i nieziemskiej Polski modlili się ówczesni patryjoci, zatracając coraz bardziej zmysł poziomej rzeczywistości. Cierpieć i umrzeć za Ojczyznę było dla nich rzeczą ważniejszą, niż żyć i czynić pożytecznie dla jej realnego odbudowania. Następował coraz silniejszy rozbrat między polityczną ideą patryjotyzmu, a jej naturalnem podłożem, którem jest miłość ojcowizny. Ta ostatnia przybierała tem jawniej formy brutalnego egoizmu osobistego, stanowego, dzielnicowego, im wyżej wzbijała się w obłoki idea czystego i ofiarnego patryjotyzmu. Im większa była odległość między temi dwoma rodzajami miłości, tem mniej sobie przeszkadzały i tem łatwiej istnieć mogły koło siebie w duszy jednostki i narodu.

Taki rozdział między dwoma naturalnymi pierwiastkami zdrowego i czynnego patryjotyzmu, pociągnął za sobą dwie rozbieżne a czasem nawet przeciwstawne konsekwencje. Po pierwsze, oderwana i mistyczna miłość Oj-

czynny chroniła naród znakomicie od wynarodowienia i zaprzaństwa; z natury swej pokorna i bierna, zadawała się marzeniem o cudzie, który przyjdzie. Takiej miłości żaden ucisk, żadne prześladowanie nie mogły zniszczyć, ani nawet dosięgnąć. Ciosy, które na naród spadały, znoszone cierpienia i męki wzmacniały jej siłę, potęgowały utajone w sercu uczucia. Z taką mistyczną miłością polak mógł przetrwać wszystko i pozostać sobą w każdej najcięższej nawet sytuacji. Była to miłość pierwszych chrześcijan, modlących się w katakumbach. Z drugiej strony obrona umiłowanej ojcowizny, zagrożonej przez zaborców, pchała naród, przez naturalny odruch samozachowawczy do uległości politycznej i do kompromisów z narzuconym losem. Szeroki ogół polski mało sobie obiecywał z codziennych i systematycznych wysiłków, mających na celu przygotowywanie środków i sposobów do wyzwolenia się z pod jarzma i do zdobycia własnym wysiłkiem całkowitej wolności. Całość Polski pozostawała gdzieś w obłokach, na ziemi zaś wysiłki nie przekraczały granic poszczególnych zaborów. Od czasu do czasu wstrząsały wprowadzić Polskę narodowe powstania, ale te zawsze rozgrywały się i koncentrowały w jednym zaborze rosyjskim, a polacy innych zaborów zazwyczaj biernie się tyl-

ko przypatrywali rozbrajaniu oddziałów powstańczych, które musiały wkroczyć do ich dzielnic. Poza jedną może Kościuszkowską insurekcją, powstania te nie miały w swym planie złączenia zaborów i wyzwolenia całości Polski. Co więcej, można nawet twierdzić, że późniejsze powstania wybuchały bez żadnego polskiego planu politycznego. Jeżeli był jakiś plan polityczny, to nie urodził się on i nie urobił w polskich umysłach, lecz szedł z zewnątrz, z tajnych ośrodków międzynarodowych kombinacji politycznych. Dla ogółu polskiego powstania były niespodzianką, krwawym odruchem, orężną improwizacją na tle wiecznie żywego a mało realnego marzenia. Nieuchronne w tych warunkach skutki powstań zwiększony ucisk, cierpienia, katorga, Sybir, kajdany — wszystko to było właściwym i realnym efektem, który rozżarzał mistyczny ogień polskiego patriotyzmu i dorzucał strofy do tragicznej litanji ofiar, które miały wymodelić cud zmartwychwstania.

Po rewolucji z 1863 r., która była szczytem naiwnie mistycznej i praktycznie beznaziejnej ofiary, przyszedł okres reakcji. Powstał program „pracy organicznej”, który miał być wyrazem realizmu politycznego, wykreślał z praktycznych celów narodu górne marzenia o całej i niepodległej Ojczyźnie i skierowywał

myśl do codziennych szarych wysiłków nad utrzymaniem stanu posiadania. Pod tym wpływem patryjotyzm polski kurczył się do miary obrony ojcowizny i do polityki egoistyczno-dzielnicowej. Kto się miał za człowieka rozsądnego i trzeźwego pozostawiał poetom, kobietom i dzieciom marzenie o polskiej Ojczyźnie i krył się wstydliwie z patryjotycznymi wzruszeniami, które w pewnych momentach każdą duszą polską wstrząsać musiały. Taki stan serc i umysłów zapanował we wszystkich trzech zaborach. Przejawiał się on także i w zaborze austriackim, w którym rząd wiedeński nie stosował już brutalnego ucisku, lecz przeciwnie, obdarzał nas pozorami wolności. Te pozory były przyczyną najtragiczniejszego skrzywienia i skomplikowania właściwej linii polskiego patryjotyzmu. One to ułatwiły najsilniejszy rozkwit dzielnicowego egoizmu przez to, iż serca i sumienia polskie, naiwnie wdzięczne za darowaną Galicji autonomję, godziły się z tym egoizmem, który pozwalał im, przynajmniej w fantazji, na łączenie praktycznej polityki z marzeniami i wspomnieniami o Polsce, wspaniałomyślnie tolerowanymi przez habsburskiego monarchę. A że już Marja Teresa płakała przy rozbiorach Polski, więc do tronu i do monarchji habsburskiej zaczęto przywiązywać jakieś bliżej nieokreślone nadzieje i za-

mykano oćy na nędzę materjalną i moralną, w którą Wiedeń systematycznie wpychał autonomiczną, niby to przez Polaków rządzoną Galicję. Tak się rozwijał specjalny rodzaj polsko-austriackiego patryjotyzmu, który chciał z Galicji zrobić Piemont i mimo wszystko akceptował stańczykowskie hasło: „przy Tobie stoimy i stać chcemy Panie”.

Z takim zasobem rozdwojonego i skomplikowanego patryjotyzmu trwał biernie ogół narodu polskiego aż do wybuchu światowej wojny, która w rezultacie przyniosła Polsce wyzwolenie. Na ten ogół polski zarówno wojna jak i Polska spadły niespodzianie, niby grom z jasnego nieba. Tak było niewątpliwie, choć się to może dziwnem zdawać, jak się pomyśli, od ilu to lat oczekiwano tej wybawczej, krwawej wiosny i ilu gorących Polaków umierało z goryczą, iż nie dano im dożyć do owej wielkiej chwili. Czyż to jednak nie jest znamieniem cudu — a przecież cudem miało być nasze zmartwychwstanie, — że przychodzi on nagle, bez przygotowań i wysiłków.

Znalazła się jednak w narodzie garstka ludzi, którzy zrozumieli, że nie wolno jest żywemu narodowi zdawać się na cud wolności i nie czynić ze swej strony nic dla politycznej realizacji tego celu. Wszak wiara i miłość martwe są bez uczynków. Ażeby jednak uczy-

nek nie pozostał bezowocny, powinien on wynikać z ogólnego planu działania. Zwiąawszy się wspólnym celem, którym było odbudowanie całej i niepodległej Polski, wspomniana garstka przystąpiła do opracowania planu akcji, która miała objąć wszystkie zabory. Kierownictwo tej pracy spoczęło wówczas w rękach Jana Popławskiego, Zygmunta Balickiego i Romana Dmowskiego, a liczba uczestników i współpracowników rosła z każdym rokiem i obsadzała placówki we wszystkich ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. Program działania dostosowywał się do każdego terenu, do każdej dzielnicy, ale pozostawał jednolity dla całości Polski. Ludzie do tej grupy patriotów należący, chcąc dzieło swoje postawić na gruncie politycznie realnym, musieli przede wszystkim zdać sobie sprawę, jakie miejsce zająć może i powinna kwestja polska w ogólnym splocie zagadnień międzynarodowych. Należało im ponadto przypomnieć światu i samym Polakom, że, wbrew pozorom niebytu, miejsce takie istnieje konkretnie na ziemi i że przy sprzyjających okolicznościach może się stać podstawą dla wielkich przeobrażeń politycznych i terytorjalnych. Dla ludzi, podejmujących takie przedsięwzięcie z chłodną rozważą polityków i z mocnem postanowieniem dojścia do pozytywnego rezultatu, stało się odra-

zu jasnem, iż należało odpowiednio przygotować duszę i rozum polskiego narodu i zmienić dotychczasowy, romantyczno-nierealny typ jego patriotyzmu. Trzeba było umiłowaną Polskę ściągnąć z obłoków, z symbolu uczynić rzeczywistość, a z poetycznych marzeń — realny plan politycznego działania. To się po części stało, ale tylko po części. Szeroki ogół bał się tych poczynañ niby to szarych i powszednich a przecież tajemniczo niebezpiecznych i nie wierzył, żeby uprawianie patriotyzmu w życiu codziennem mogło sprawić, aby „Słowo stało się ciałem”. Gdybyż tu jeszcze chodziło o powstanie orężne, o pomstę na wroga z Bogiem, czy mimo Boga! Tak szli Polacy do wyzwolenia, a nie przez jakieś pomysły polityczne, nie przez przygotowywanie gruntu do dyplomatycznego działania, nie przez wdrażanie umysłów do rozumnych i celowych wysiłków. I tkwił dalej ogół polski w swym dawnym, kolorowo-romantycznym lub kirowo-sybirskim patriotyzmie i nie rozumiał, jak go można przyczepić do mniej więcej normalnie biegnącego życia. Serce tego ogółu nie wtajemniczonego i nie rozumiejącego, nie mogło lgnąć do ludzi z musu skrytych, opanowanych i spokojnych, którzy coś przygotowywali, wydawali jakieś moralne nakazy i mącili harmonję powszedniego, od trosk politycznych broniącego się życia.

Za to bardziej odpowiadał przeciętnemu pojmowaniu gorącej miłości Ojczyzny wysiłek innych ludzi, którzy poprostu szykowali się do zbrojnego powstania. Patrjotyczny ogół polski nie wnikał w to, czy taki czyn orężny był pod względem politycznym rozumnie skierowany, to znaczy, czy mógł lub nie doprowadzić, a przynajmniej pomóc do uzyskania wolnej i całej Polski. Jemu wystarczało, że się gdzieś przez kogoś tworzą polskie legjony. Przeciwno komu miały one wystąpić w razie zawieruchy dziejowej, kogo miały bić, nad tem się mało zastanawiano. Juści przeciwno wrogom Polski. Przeciwno którym? Tutaj kwestja była zgóry przesądzona. Jeśli rząd austriacki umożliwiał tworzenie polskich legjonów, to oczywistem niepodobieństwem było skierować czyn orężny przeciwno Austrii. Zresztą niewiadomo, czy właśnie austriacka Galicja nie stanie się Piemontem dla przyszłej wskrzeszonej Polski. Wszak jedynie Habsburgowie płakali przy rozbiorach Polski i oni to dali polakom autonomiczną wolność. Czy sto lat temu można było skierować legjony polskie przeciwno Napoleonowi? Kto nie czcił ks. Józefa, tonącego w nurtach Elstery? Nie można też było wojować z Niemcami, którzy byli sojusznikami monarchji habsburskiej. Pozostawał więc trzeci, a może tylko drugi wróg,

najdzikszy, najokrutniejszy, ten, który zrodził redutę Ordoną, improwizację Konrada i Grotterowski pochód na Sybir. Bić moskala, pomścić okrucieństwa carów i krwawych satrapów, zrzucić z siebie mongolskie jarzmo, — czy to nie leżało w tradycji Polski orężnej, czy nie odpowiadało mściwej ochocie i romantycznemu patryjotyzmowi wieszczów?

Przyszła wielka wojna - wybawicielka; wówczas prawie wrogo zetknęły się ze sobą powyższe dwa typy patryjotyzmu i po dzień dzisiejszy, po dziesięciu latach istnienia odrodzonej Ojczyzny, ogół polski sercem swoim błądzi po manowcach, sarka na rozdwojenie i nie wie którędy i dokąd winno go prowadzić patryjotyczne uczucie. Znakomity i realny sukces, osiągnięty w r. 1919 na konferencji pokojowej przez patryjotów nowego typu, przez ludzi Komitetu Narodowego, nie wstrząsnął zbyt-
nio duszą narodu i nie spowodował radykalnej przemiany tradycyjnie ustalonej wartości. Odbudowanie zjednoczonej i niepodległej Polski przypisywano często bądź szczęśliwemu a niespodziewanemu zbiegowi okoliczności, bądź oczekiwanemu cudowi. Tak, czy inaczej, jakie znaczenie mógł mieć, jaką pomoc mógł okazać mało efektowny wysiłek garstki może nawet rozumnych i wytrawnych polityków? Jeśli już co mogło ów wielki cud przyspieszyć i ściągnąć

na ziemię polską, to chyba po staremu ofiara krwi, ofiara legjonów, ale oczywiście tylko tych, które na samym początku wojny wyruszyły w pole tam, gdzie mogły, aby dowieść, że są jeszcze żołnierze polscy, chcący się bić o Polskę. I dlatego, aby się cud stał, było zupełnie obojętnem, czy te legjony były się po dobrej, czy po złej stronie i czy ich czyny orężne mogły być przydatne, lub nie, czy należało im w odpowiedniej chwili zmienić front bojowy i wciągnąć w wir wojny wielkie masy polskiego żołnierza, występującego z orężem w rękę i w karnym ordynku z rozpadającej się armji carskiej. Dość, że się bili z miłości dla Ojczyzny. Gdyby się było nie udało, pozostałaby im sława i cześć tak, jak ongi Kniaźwiczom i Dąbrowskim. Więc niesłusznie sięgają po sławę ci, którym się udało znieść rozbiory Rzeczypospolitej i dokonać dzieła odbudowania całej i niepodległej Ojczyzny.

Z powyższych zatem powodów, których znaczenie w krótkim wywodzie starałem się wyjaśnić, patryjotyzm polski pozostaje dotąd poważnem i niepokojącym zagadnieniem politycznem. Ponadto mało kto u nas zastanawia się nad związkiem, jaki istnieje między patryjotyzmem a polityką. Pospolicie uważa się, że są to dwie odrębne dziedziny, które się łączą tylko w wypadku wielkich prób dziejowych,

przeważnie orężnych. Pytanie, kto w politycznym życiu może być uważany za patryotę a kto nie, wydaje się przeciętnemu Polakowi niezrozumiałem i bluźnierczem dociekaniem. Przecież wszyscy Polacy są patryotami, albowiem wszyscy miłują Polskę. Tak jest w istocie. Wszyscy Polacy miłują Polskę, lub miłują coś lub kogoś w tej Polsce, z wyjątkiem oczywiście jawnych zdrajców i zaprzańców. Kto jednak jest zdrajcą, kto zaprzańcem, Bóg to raczej może wiedzieć, nie ludzie. Pod tym względem wyrozumiałość nasza była i jest wielka. Nie darmo szcycimy się tolerancją. Każdy ma prawo kochać Polskę po swojemu. Czy ta miłość obraca się na dobre, czy na złe, czy przynosi Polsce pożytek lub szkodę, to zazwyczaj nie jest brane w rachubę. Czy jednak na takiej miłości można cośkolwiek budować i czy taka miłość może być nazwana patryotyzmem w politycznym sensie tego słowa? Gdybyśmy na to pytanie odpowiedzieli twierdząco, to nie mielibyśmy prawa odsądzać kogokolwiek od patryotyzmu. Jestem przekonany, że wśród polskich bolszewików mogą się znaleźć tacy, którzy szczerze miłują jakąś przyszłą, na swój sposób skonstruowaną Polskę. A jednak sumienie nasze by się wzdrygnęło, gdybyśmy ich nazwali patryotami polskimi. Wierzę i wiem, że wśród polskich socjalistów jest bardzo wielu

gorących patryjotów, ale nie sposób nazwać patryjotycznym ich międzynarodowego programu politycznego, który odrzuca Ojczyznę, przekreśla granice i zacieśnia umiłowanie do jednej tylko warstwy proletarjackiej. Socjalista, aby być patryjotą, musi się wyrzec zasad socjalistycznych; gorzej jest, jeśli próbuje je nagiąć do patryjotyzmu. Dlaczego twórców Konstytucji 3 Maja uważamy za patryjotów, a tych, którzy im się opierali, bądź za zdrajców, tak jak Targowiczan, bądź za ludzi pozbawionych uczuć patryjotycznych? Nie dlatego przecież, że pierwsi zrobili zamach stanu a drudzy się im przeciwstawili. Wiemy, że wśród przeciwników Konstytucji 3 Maja byli ludzie gorąco miłujący Polskę, że wspomnimy tylko takiego męża jak Tadeusz Czacki, który później z innych powodów zasłużył sobie na miano wielkiego patryjoty. Widzimy więc, że nie każda miłość Ojczyzny wystarcza na to, aby dać treść pojęciu patryjotyzmu.

Patryjotyzm, żeby być pożyteczną dźwignią życia politycznego, musi polegać nie tylko na uczuciu, lecz także na rozumnej świadomości celu, do którego to uczucie prowadzić powinno. Cel ten dla wszelkiego patryjotyzmu da się streścić w trzech słowach: całość, niepodległość i wielkość Ojczyzny. Patryjota nie tylko musi czuć i znać ten cel, ale musi także

wiedzieć jakimi sposobami można go urzeczywistnić. Bez tej wiedzy najgorętsza nawet miłość może go zaprowadzić na najgorsze manowce i wtrącić do przepaści. Czy Ojczyzna zginie przez głupią miłość, czy przez mądrą podłość, — skutek jest ten sam. Patrjotyzm musi Ojczyźnie przynosić pożytek a nie szkodę; inaczej nie jest patrjotyzmem.

Nieobliczalność polskiego patrjotyzmu wynika właśnie stąd, że ogół polski ma nikłą świadomość warunków swego bytu, że przeważnie nie rozumie istoty zagadnień politycznych, że brak mu podstawowych aksjomatów, które ułatwiają rozpoznanie dobra i zła i nie pozwalają ku złemu uczucia swego kierować. Zapewne, każde pokolenie musi przyjąć od swoich poprzedników dziedzictwo Polski z dobrodziejstwem inwentarza. W tym inwentarzu są rzeczy dobre i złe i wszystkie one składają się na całość, która jest realnym wytworem historii. Prawdą jest, że trzeba kochać Polskę jako całość, i że nie wolno odżegnywać się od takiej lub innej Polski. Jednak patrjota jest właśnie powołany do tego, aby całość Ojczyzny doskonalić i uszlachetniać. Musi on zatem tępić szkodliwe tradycje, a podnosić te, które mają istotną wartość na dziś i na jutro. Do tego musi on mieć nietylko serce, ale i rozum.

Tak więc patryjotyzm, jako potężna dźwignia politycznego rozwoju narodu, winien być patryjotyzmem rozumnym i oświeconym, to znaczy — posiadać należyte kryterja do oceny, jakie strony życia narodowego zasługują na powszechną miłość, a jakie od tego sentymentu powinny być wyłączone. Dalej musi on być patryjotyzmem realnym, t. j. biorącym za przedmiot swego umiłowania rzeczywistość a nie z imaginacji zrodzoną, choćby najpiękniejszą fantazję. Wreszcie musi być patryjotyzmem czynnym, a więc stosowanym w każdym momencie, na wszelkim posterunku życiowym, a nie wybuchającym jedynie w chwilach wielkich walk orężnych i ostatecznego niebezpieczeństwa.

Gdy ogół polski dojdzie do tego typu patryjotyzmu, wówczas znajdzie on w tem uczuciu trwałą ostoję swego wewnętrznego bytu i najpewniejszą tarczę, chroniącą go od zewnętrznych niebezpieczeństw.



SPIS RZECZY

	Str.
Wstęp	5
1. Państwo narodowe	11
2. Ustrój federacyjny	27
3. Republika — monarchja	51
4. Ustrój władz w państwie	63
5. Sprawa mniejszości narodowościowych	85
6. Terytorjum i granice	99
7. Polski patriotyzm	127

2488



6554/
1